



# NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1,20 zł – 8 stron

Warszawa, 31 maja 1953 r.

Nr 22 (166) Rok IV

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

## Dumny głos Ameryki Południowej



### W Kopernikowskim Fromborku

Przed 410 laty w północnym nadmorskim miasteczku na Warmii umarł Mikołaj Kopernik trzymając w ręku — jak głosi tradycja — pierwsze książkowe wydanie dzieła swojego całego życia. Ponad 30 lat życia upłynęło Kopernikowi w tym „najdalszym zakątku świata” — tak nazywał kiedyś Frombork. W każdą pogodną noc obserwował tu ze swojej dostrzegalni dalekie migotanie gwiazd, wędrówkę księżyca i drogi planet... Tutaj na prymitywnym przyrządzie mierzył cienie słońca, a ono jakby w miarę obliczeń stawalo się posłuszne jego teorii. Trzeba było wiele dni i nocy, aby obserwacje i żmudne rachunki potwierdziły podstawową prawdę układu galaktycznego. Jak dobrze musiał znać Kopernik fromborski widok morza, niskich dachów miasteczka, lasów i wzgórz! Ileż razy rybacy wyruszający przed świtem na połów zastawali jeszcze światło migocące w oknach gotyckiej wieży, gdzie na ostatnim piętrze mieszkała się dostrzegalnia doktora Mikołaja. A Kopernik stylował może daleki plusk wiosel, przecierał zmęczone oczy i wtedy dopiero spostrzegł pierwszą sarość switu...

Śmierć Kopernika przeszła we Fromborku bez echa. Przyjaciół miał zawsze niewielu, wrogowie nie ocenili jeszcze w pełni znaczenia i siły jego nauki. Tajemnica układu słonecznego, rozwijana w sześciu księgach, zaczynała dopiero przenikać poza obręb cichego miasteczka nad Zalewem Wiślanym... W prostych łacińskich zdaniach „De revolutionibus orbium coelestium” ludzkość znalazła konstrukcję, na której mogła zbudować nową wiedzę o świecie.

Od tamtej chwili nad Fromborkiem przepłynęło 410 lat, lecz Kopernik nigdy nie miał tu tyłu przyjaciół co teraz i nigdy nie był tak blisko prostym ludziom swojego kraju. Oto w ubiegłą niedzielę rozpoczął się przewidziany uchwała Światowej Rady Pokoju ROK KOPERNIKOWSKI. Aleją prowadzącą na wzgórze katedralne we Fromborku szli mieszkańcy okolicznych miasteczek i wsi — robotnicy, rybacy, chłopcy, ciągnęli kolumny młodzieży SP i wycieczki szkolne. Przed nimi coraz wyraźniej i bliżej wyrastały spoza zieleni drzew średniewieczne mury obronne, uczone do nich kamieniczki, gotyckie linie katedry. Młodzież przystawała

przed czworokątną wieżą, starając się zapamiętać jej kontury, a może uchwycić obraz odległej epoki, kiedy to tu przemieszkował Mikołaj Kopernik i tutaj tworzył swoje wielkie dzieło...

Na dziedzińcu katedralnym zamkniętym dookoła murami, zaroilo się od granatowych i zielonych mundurków dziewcząt i chłopców SP, rozkwitły barwne stroje mazurskie, czerwone chusty harcerzy. W owacji, którą przywitalo tu Bolesława Bierut, była prota i wzruszająca serdeczność. W przerwach między występiami zespołów młodzieżowych z Warmii i Mazur — wszyscy garnęli się by uścisnąć Jego rękę, odnaleźć się z Nim razem na zdjęciu. Przywiązanie, jakie tego dnia okazała Bolesławowi Bierutowi we Fromborku młodzież warmińsko-mazurska, miało szczególnie głębokie znaczenie. Wyraziła się w nim cała wdzięczność mieszkańców tej ziemi, ziemi Kopernika, dla Polski Ludowej, która przyniosła tym ludziom tak długo oczekiwaną wolność, pozwoliła im kochać przeszłość swojego kraju, otworzyła przed nimi szerokie perspektywy przyszłości...

Kiedy się wchodzi na dziedzińiec katedralny we Fromborku, wzrost zatrzymuje się na świeżych rozstojach ustawionych przy wieży Kopernika i przy murze biegnącym od wieży do bramy zachodniej. Dawniej był tu krąganiek, gdzie Kopernik ustawiał swoje przyrządy astronomiczne i przeprowadzał obserwacje. Polska Ludowa podejmuje rekonstrukcję fromborskiej dostrzegalni, w której zyskał swój ostatni kształt „kopernikowski system świata”. Polska Ludowa przywraca również dzieło Kopernika jego pierwotną rewolucyjną treść, wykłętą przez kościół, zienawidzoną przez tępych komentatorów biblij, systematycznie zniekształcaną przez burżuazyjnych mędrków. Od chwili gdy Kopernik odważnie rzucił stonę w daleką wędrówkę dookoła słońca — myśl ludzka zdobyła nowe wspaniałe horyzonty, a świat uległ daleko idącym przeobrażeniom w swoim niustannym rozwoju. Imię Kopernika jest jednak dla nas i dziś, tak jak było w ciągu wielu wieków, symbolem zwycięstwa nauki nad przesądem, postępu nad ciemnotą.

Jan Młetkowski

Kiedy zabierając głos na otwarciu Kontynentalnego Kongresu Kultury w Santiago, dnia 26 kwietnia rb., pod koniec mojego przemówienia przytoczyłem piękne słowa wielkiego poety Rubéna Darío, mówiące o dumnym głosie Ameryki Południowej, sala przerażała mi gromkimi oklaskami, A oto ów cytat:

Es de todos los puntos de nuestra tierra ardiente que brota hoy de los vibratos pechos voz orgullosa...

czyli: Oto ze wszystkich stron naszej płonącej ziemi wznosi się z rozfalowanych piersi głos dumny...

Słowa Rubéna Darío uderzały wiodocnie w ton, w nastrój sali, odpowiadały myślowi i uczuciom wszystkich zebranych, skoro znalazły tak głęboki oddźwięk.

Bo rzeczywiście to pierwsze w dziejach Ameryki Łacińskiej zebrane najlepsze jej synów, twórców ze wszystkich dziedzin, a więc pisarzy, poetów, dziennikarzy, lekarzy, prawników, malarzy, muzyków, filmowców itd., zgromadziło się pod wezwaniem słusznej dumy z wielkiej kultury Południowo Amerykańskiej i z zamiarem omówienia wszystkich bolączek tej kultury, jej zahamowań wynikających z sytuacji ekonomicznej, społecznej i moralnej tego olbrzymiego kontynentu, i z chęcią uchwalenia środków zaradczych przeciwko zakusom, które zmierzają do zniwelowania osobliwości i wartości tej kultury, a nie raz wręcz zagrażają jej istnieniu. Głosy jakie się na tym kongresie odzywały były nieraz głosami słusznej dumy, ale też nieraz głosami poważnej troski i niepokoju o dalsze losy kultury „wszystkich Ameryk” jak oni to nazywają.

Dla cudzoziemca mało oswojonego z zagadnieniami Ameryki Południowej prawdziwą niespodzianką jest skonstatowanie faktu, że wszystkie te sąsiadujące z sobą kraje, mówiące (z wyjątkiem Brazylii) jednym hiszpańskim językiem — są od siebie oddzielone murami nieprzezwyciężonych niechęci, nieufności, a wreszcie po prostu nieznaności. Pisarze chilijscy, na przykład, nieznani są w Argentynie czy w Meksyku, książki ich nie docierają z jednego państwa do drugiego. Brak im także jakiegoś jednego centrum kulturalnego. Dawniej był nim Paryż, dziś staje się Nowy Jork — i w tym właśnie upatrują największe niebezpieczeństwo ich, którym leżą na sercu sprawy południowo amerykańskie.

W zupełnie specjalnej sytuacji znajduje się Brazylia, która oddzielona jest od swoich sąsiadów „siostry” jeszcze odmiennością języka. Doskonale pisarz brazylijski znany w Europie, czytany, jak miałem sposobność przekonać się o tym, w Portugalii, tłumaczony na wiele języków, a niezmiennie popularny w swojej ojczyźnie — jakim jest Jorge Amado, jest prawie nieznanym w innych krajach tamtego kontynentu, na przykład w Chile.

Doskonale przykładem takiej izolacji poszczególnych republik południowo-amerykańskich jest sprawa komunikacji pięciu małych republik środkowych. Są to malutkie kraiki — Costarica ma 800.000 mieszkańców, Nicaragua 1.200.000 — mają one połączenia okrętowe i kolejowe, każdy z osobna ze Stanami Zjednoczonymi, nie mają jednak takich połączeń między sobą.

Życie kulturalne w każdym poszczególnym nawet najmniejszym kraiku idzie własną koleją, teatry, filmy, literatura, malarstwo żyją własnym, często bardzo mizernym życiem.

W takich warunkach zjazd przedstawicieli ruchu kulturalnego wszystkich południowo-amerykańskich republik był czymś zupełnie nowym i prawie rewolucyjnym.

Oczywiście podzielił ten, wzajemne rywalizacje, które czasami dochodzą do krwawych rozpraw, jak niedawna wojna o Gran Chaco pomiędzy Boliwią a Paragwajem podsypane są umiejętną ręką polityków imperialistycznych. O silę tej polityki rozbijają się wszystkie dotychczasowe wysiłki porozumienia i współpracy pomiędzy państwami Ameryki Południowej. Jaskrawym przykładem takiego rozbitcia jest rozkład usiłowań są dzieje Juana Morazana, prezydenta Guatemali a potem Costariki. Wszelkie jego usiłowania połączenia pięciu małych kraików środkowo-amerykańskich w jedną całość rozbiły się o opór podsycony z zagranicy. Co prawda są to dawne dzieje (Morazan umarł w roku 1852), ale sama zasada „divide et impera” od tego czasu niewiele się zmieniła. Przeciwnie, nabrała ostrości dzięki wpływom ekonomicznym i politycznym, jakie w Ameryce Południowej uzyskały sobie państwa imperialistyczne,

Toteż nie dziwnego, że kongres Kultury w Santiago wzbudził prawdziwy atak wściekłości ze strony Stanów Zjednoczonych i zaprzędaną w prasie. Dziennik reakcyjny „Mercurio” wychodzący w stolicy Chile wiele tygodni przed kongresem zamieszczał codziennie na pierwszej stronie nieprzytomne wręcz ataki na zjazd i na jego organizatorów. Zastąpiło to reklamę, której twórcy Kongresu nie uważali za potrzebne czy za możliwe rozwinąć w należyty stopniu. Kongres przeto cieszył się niezwykłą popularnością i tłumy mieszkańców Santiago zbiegły się na jego otwarcie i na jego zamknięcie, które odbywały się w Teatrze Miejskim stolicy. Równie olbrzymią frekwencją cieszyły się „recitale” poetyckie Pablo Nerudy i poety kubanckiego Nicolas Guillena, tak samo jak odczyt o plastyce współczesnej, znakomitego malarza fresków, Meksykanczyka Diego Rivera.

Jak widzimy, kongres santiagański zgromadził wiele gwiazd południowego kontynentu, oprócz wyżej wymienionych brali w nim udział Jorge Amado, Mancissidor (wybitny powieściopisarz meksykański) Benjamin Subercaseaux (burżuazyjny pisarz chilijski) i mnóstwo innych przedstawicieli kultury republik południowo - amerykańskich. Oficjalnych delegatów było około dwustu, co z zaproszonymi gośćmi, sympatykami, dziennikarzami, obserwatorami stanowiło pokazywał tłum, który przez tydzień zbierał się dwa razy dziennie w mniejszej, filharmonijnej sali Teatru Miejskiego. Obrady były bardzo interesujące, a chwilami nawet bardzo gorące. Swoboda słowa panowała zupełna i nawet prowokacyjne wystąpienie jakiegoś młodego studenta, nasłanego przez redakcję „Mercurio”, pomimo protestów sali, doprowadzone było do końca.

Wszyscy zebrani zdawali sobie doskonale sprawę z niebezpieczeństwa, jakie zagraża Ameryce Południowej ze strony kultury, jak oni tam nazywają „yanquistowskiej”. Jeżeli chodzi o „yanquistowskość”, sposób ubierania się, pisma i comicsy — sprawa ta jest raczej zewnętrzna i nie tak może groźna, jak ją przedstawiają niektórzy. Natomiast niezmienne: poważne jest zagrożenie ekonomiczne: cały majątek państwowy, wszystkie kopalnie, miedz, saletra, nafta, plantacje kakao i bananów i w rękach kapitałów cudzoziemskich, głównie amerykańskich, „yanquesowskich”. Tak samo wszystkie instytucje użyteczności publicznej: elektryczność, gaz, częściowo kolej. Podczas mojego pobytu w Santiago bardzo szeroko była omawiana kwestia racjonalizacji i ograniczeń wprowadzonych w życiu prądu elektrycznego w tym mieście. Jeżeli u nas wprowadza się te ograniczenia, jest to zrozumiama ofiara obywatela na rzecz państwa, konieczna oszczędność społeczna. Tam takie ograniczenia idą na rzecz jakiejś obcej kompanii „yanquesowskiej” i oczywiście nie mogą się spotkać ani ze zrozumieniem ani z powolnością.

„Yankizacja” Ameryki Łacińskiej przybiera formy zewnętrzne: nasładownictwa, mechanicznego przejmowania form cywilizacji, co nie pociąga za sobą kulturalnego rozwoju społeczeństwa. Na przykład, nie odbija się zupełnie na poziomie wykształcenia. Walka z analfabetyzmem przybierającym w niektórych państwach zastraszające rozmiary (w Brazylii 70 proc. analfabotów) — to postulat wszystkich postępów działaczy. Nie spotyka się on bynajmniej ze zrozumieniem rządów miejscowych, pracujących pod dyktando Washingtona.

Doprowadza to do dziwacznych paradoksów. Bardzo charakterystyczny dla stanu kultury i cywilizacji Ameryki Południowej był dla mnie następujący wypadek.

Chciałem koniecznie odwiedzić wielki port chilijski, największe po Santiago miasto Valparaiso. Dwóch młodych architektów (którzy nawiasem mówiąc, marzą o wizycie Skibniewskiego czy Sigalina u nich) ofiarowało się miem zawieźć tam samochodem. Samochód był dość starawy, a droga niezwykle trudna. Chociaż wynosił tylko 180 kilometrów, na przestrzeni tej trzeba przebyć dwa bardzo wysokie pasma gór, szosą wprawdzie szeroką i wygodną, ale bardzo krętą i pełną uciążliwych serpentyn. W powrotnej drodze moi gospodarze, chociaż zmieniali się przy kierownicy, byli bardzo zmęczeni. Teraz tam jesień, dnie krótkie, ściemnia się szybko i prowadzący wóz, posł do Kongresu Sergio Gonzalez, popełnił jakiś błąd ze światłami przy wymijaniu licznych samochodów. Posterunek na drodze zatrzymał nas. Posterunek wiedział o tym błędzie i numerze samochodu od lotnego patrolu karabinierów, znajdującego się gdzieś na szosie w swojej maszynie. Patrol policyjny porozumiewał się z owym lotnym samochodem przy pomocy aparatu radiowego. Gonzalez powie-

dział, że jest posłem. Na co usłyszeliśmy w przydrożnej budce wyprowadzanej gdzieś na drodze, w jadącym w stronę Santiago samochodzie, słuszną zresztą maksymę: że i posłowie powinni przestrzegać prawideł jazdy na drogach! Posterunek który nas zatrzymał musiał spisać protokół. I tu zaczęła się tragedia: karabinier, który umiał posługiwać się tak nowoczesną maszyną, jaką jest mały aparat nadawczy - odbiorczy — nie bardzo umiał posługiwać się piórem i spisywanie protokołu i wszystkich danych osobistych Gonzalez'a szło mu niezwykle opornie, przez co zmanowaliśmy sporo czasu...

Obrazek to bardzo pouczający. Pełno w Ameryce Południowej samochodów, wind, błyskawicznych, radia, powielanie maszynopisów odbywa się za pomocą fotokopii — namiast nie ma stałego teatru, nakłady książek i pism są minimalne i analfabetyzm jest przerażający. Indianie pogrążeni w ciemności i wyszuki odywają swoje praktyki czarodziejskie i czarnoksiężskie, instytucja „machi” — czarodziejki, pyti, jest jeszcze rzeczą zupełnie aktualną — a społeczeństwo chilijskie podczas mojego pobytu w Santiago zostało zelektryzowane zbódną popelnioną przez młodą indiankę, która na zlecenie „czarownicy” zamordowała swoją teściową w celach kuracyjnych: krew teściowej wypita przez nią, miała ją uleczyć od ciężkiej choroby.

Wszyscy patrioci południowo-amerykańscy pragną rozwoju i podniesienia własnej kultury, chcą rozwój ten oprzeć na wielkich tradycjach swoich narodów. Przy czym tradycję tę pojmują bardzo szeroko — nie tylko jako tradycję hiszpańską i czasów kolonialnych, ale także jako tradycję opartą na kulturach prekolombijskich i na resztkach kultury przechowywanej przez niebardzo liczne już i wymierające plemiona indiańskie. Szczególnie w Chile tradycja Indian Araukańskich jest bardzo żywa — a Pablo Neruda, który sam ma krew araukańską w żyłach — w poezjach swych wyraźnie nawiązuje do wielkiej tradycji tego plemienia. Araukanie nigdy się nie poddali Hiszpanom i utrzymali przez przeszło trzyście lat swoją niezależność, w połowie dziewiętnastego wieku przystępując do brawolnie do wspólnoty chilijskiej.

Obecnie w całej Ameryce Południowej istnieje wielki prąd studiowania, wydobywania z zapomnienia kultury plemion tubylczych, „aborigenów” jak to się tutaj nazywa — a także tam gdzie są liczne pozostałości dawnych niewolników murzyńskich, kultury „afroamerykańskiej” (w Brazylii, na Kubie). Wielki malarz meksykański Diego Rivera powiedział w jednym ze swoich odczytów podczas kongresu w Santiago:

„Kulturami indiańskimi i prekolombijskimi zajmują się archeolodzy. Ale przecie to jest XVI i XVII wiek! Jakże to archeologia? To historia i to historia najnowsza. Spójrzcie na nasze twarze! Przecież wszyscy jesteśmy Indianami!”

Jednym z najbardziej interesujących referatów na Kongresie był referat profesora Aleksandra Lipschutza, wielkiego badacza hormonów i choroby raka, jednego z najznakomitszych biologów świata. Uczony ten obok swojej specjalności zajmuje się także badaniem antropologicznym, etnograficznym i kulturalnym plemion indiańskich całej Ameryki Południowej. Dla niego Mayowie na Jukatanie czy Ymano-wie i Alakalufowie na Ziemi Ognistej są dobrymi znajomymi. Odwiedzał i badał te plemiona, zna ich obyczaje, język, wierzenia; zgromadził wspaniałą bibliotekę dotyczącą tego przedmiotu i obszernie może opowiadać o tych sprawach. Godzinę spędzone w domu tego uczonego należały do najbardziej zajmujących i najbardziej pouczających w całej mej podróży.

Lipschut podcza Kongresu: „Jest całkiem oczywiste, że miliony Indian z Meksyku, Guatemali, Peru i Boliwii chcą być Indianami... Mówiąc o walorach kulturalnych mamy na myśli przyczyny natury duchowej i fizycznej, które ułatwiają ludziom życie społeczne, wzbogacają ich byt i pomagają w opanowaniu przyrody: przekonaniem naszych czasów jest także to, że takie grupy muszą znaleźć swoje miejsce w całości człowieczeństwa... Człowiek tubylczy od początku nacięcia Hiszpanów zdawał sobie sprawę z wartości swojego języka. W księdze Mayów Chilim Balam zjawiają się już ostrzeżenia przed niebezpieczeństwem kontaktu z językiem „białych brodaczy”. Folklor, legenda, wierzenia są narzędziem zasadniczym opieki społecznej i żaden administrator zdający sobie sprawę ze swej odpowiedzialności nie będzie mógł im przeszkadzać, czy też się

sprzeciwiać. Jeżeli chcemy skapitalizować dla naszego życia narodowego energie autentyczne, które się w nich zawierają, musimy współdziałać z rozwojem tych przejawów kultury czy sztuki ludowej, otaczać ich całą pomocą państwa, spożytkować je w całej pełni dla kulturalnego dobra całego narodu”.

A owe „energie autentyczne” są niewyczerpalne, niezwykle świeże, pulsujące prawdą głębokich przeżyć ludowych. Jeden przykład znakomitej śpiewaczki Margot Loyola, która osobście zbiera piosenki ludowe „aborigenów”, odwiedzając najbardziej zapadłe zakątki, wystarczy aby tego dowiedzieć. Kto słyszał miłosną pieśń z Wysp Wielkanocnych lub czarodziejską pieśń Indian Araukańskich (z towarzyszeniem bębna) wykonaną przez tę zasłużoną mimo swego młodego wieku dla sztuki amerykańskiej artystkę — ten zdaje sobie sprawę, jakie skarby drzemają jeszcze w łonie tego wspaniałego kontynentu.

Tak samo wielkim osiągnięciem w dziedzinie kultury „afroamerykańskiej” jest twórczość poety kubanckiego Nicolas Guillena. Oparł się on o piosenkę murzyńską, o folklor, o improwizowane śpiewki — i to wszystko co jest na Kubie ludowe podniósł do wysokości człowieczego swoim znakomitym rzemiosłem poetyckim i swoim zrozumieniem i wyczuciem prostego człowieka. Wiersze jego tak proste, jasne i zrozumiałe, a tak kunstowne, są pięknym przykładem związania się pisarza z twórczością ludową. Cieszą się one szalonym powodzeniem w całej Ameryce Południowej, czego dowodem były tłumy cisnące się w Teatrze Miejskim w Santiago na „recitalu” poetyckim tego poety, który w dodatku jest jeszcze przemysłowym człowiekiem.

Widomym znakiem na Kongresie takiego nawiązania do tradycji Indian, było użycie jako piętego oficjalnego języka w napisach, języka „guarani” — to znaczy języka najliczniejszego i najkulturalniejszego plemienia indiańskiego, zamieszkającego w Brazylii, Boliwii i Peru.

Mówcy na kongresie wypowiadali się na najrozmaitsze tematy. Zagadnienia teatru, prasy, muzyki zostały omówione szczegółowo. Najciekawszym przykładem sposobu poruszania tych tematów było przemówienie delegata Brazylii, filmowca José Ortiz Monteiro, który syną cyframi rewelacyjnymi nie tylko dla mnie, ale także i dla niektórych mieszkańców Południowej Ameryki. Monteiro przypominał, że Brazylia jest trzecim z rzędu rynkiem dla filmów „yanquesowskich”, w samym Sao Paulo w ubiegłym roku sprzedano pięćdziesiąt milionów biletów do kina. Na sprowadzanie obrazów hollywoodzkich idzie rocznie suma równa wartości dwóch milionów worków kawy, czyli jedna trzecia całego zbioru kawy stanu Sao Paulo. A stan ten jest największym producentem kawy w Brazylii.

„Gdyby te filmy — powiedział Monteiro — były pouczające, gdyby pomagały nam w kształceniu młodzieży, gdyby rozszerzały jej horyzonty, nie odczuwalibyśmy potrzeby rozpaczania nad takim marnowaniem grosza. Ale w takich warunkach jak obecne musimy wzywać do tworzenia filmów krajowych, opartych na naszej pięknej historii, do zmiany naszych kin w instytucje odzwierciedlające cechy charakterystyczne naszych krajów, nasze życie i nasze obyczaje, ukazujące nasze typy i nasze przepiękne pejzaże... Na jednym z bankietów jakim nas tutaj powitano doświadczyliśmy tej wielkiej radości, że słyszeliśmy nieznana nam muzykę chilijską... Jako filmowiec pomyślałem sobie, jaką radością byłoby dla pięćdziesięciu milionów Brazylijszczyków wysłuchanie także tej muzyki, poznanie dzieł Chile i ujrzenie jego ludu poprzez obrazy filmowe, do których mój naród odczuwa takie zamilowanie. Film jest najlepszą drogą dla nas do poznania i do pokochania naszego kraju...”

W jednej z licznych i znamienitych rezolucji Kongresu czytamy takie zdanie: „Kongres stworzył w nas niezniszczalne przekonanie, że rozpoczęto na tym braterskim zebraniu rozmowy o problemach, które dotyczą naszych kultur narodowych, wyrażają wspólne interesy i dążenia naszych narodów, które chcemy interpretować jak najwinniej”.

Te debaty i rozmowy kulturalne doprowadziły do jedynego uchwalenia odeszy czy apelu do wszystkich Intelektualistów Narodów Ameryki.

Kongres Kontynentalny Kultury wyłonił także specjalną komisję porozumiewawczą w sprawach kulturalnych z najwybitniejszych działaczy kulturalnych kontynentu Południowo - Amerykańskiego, która

(Dokończenie na str. 2-ef)





Foto Maksymilian Wrocławski

W czterdziestym piątym roku widziałam przypadkiem rysunki dzieci w jednym z warszawskich przedszkoli. Niezwykle trudno jest na pozór odgadnąć treść obrazka z gmatwanymi kolorowymi kresek i kropek. Ale tylko na pozór. Już po krótkim spojrzeniu można się zorientować, że czarna, pochylony krzyż na niebie — to pikujący samolot, wydłużone kropki pod nim — to spadające bomby, a splątana sieć czerwonych i czarnych linii — to płomienie i kłęby dymu, unoszące się z gorejących domów.

Był jednak jeden rysunek wymagający komentarza ze strony wychowawczyni. Może dlatego, że mimo wszystkich przeżyć wojennych i okupacyjnych nie chciało się jakoś uwierzyć, że rysunek ten wyszedł spod ołówka sześciolatniego dziecka. Parę słów wyjaśniło sytuację: to byli ludzie pod murem, ludzie bez twarzy, ludzie, którym strzelano w plecy.

Rysunki nie były wynikiem rozigranej wyobraźni. Dzieci rysowały to, co widziały na własne oczy.

Parę dni temu rozmawiałam z pięcioletnim młodzieńcem, który pracując pomagając sobie wysuniętym języczkiem ustawiał klocki na podłodze. Uparte klocki spadały, nie chcąc utrzymać się na dostatecznej wysokości.

— Co budujesz?

— Emdeem.

— Co to jest MDM? — zapytałam.

Obrzucił mnie dosyć pogardliwym spojrzeniem. Na odpowiedź musiałam tym razem czekać długą chwilę.

— Emdeem to jest emdeem — powiedział wreszcie z przekonującym wzruszeniem ramion i uznał rozmowę za skończoną.

W jego oczach byłam zupełnie pograżona. Rzeczywiście, jak można pytać warszawskie dziecko co to jest MDM!

Warszawski przedszkolak z nowych, stoniecznych przedszkoli wie nie tylko co to jest MDM, co to jest Pałac Kultury i Nauki, co to jest Metrobudowa (kopie sie tunele!) i Zerań. Słyszał również o Nowej Hucie i o Stoczni Gdańskiej, z której na morze wypływają okręty. Tak samo jak radziecki przedszkolak z najprzeróżniejszych krańców wielkiego kraju przy pomocy blaszanej łopatkę kopie Wołgo-Don, sadzi w piasku lesne pasy ochronne. Tak samo, jak dzieci ze wszystkich ludowych republik demokratycznych z przejęciem bawią się w wielkie budowle swego kraju.

Tę garść wspomnień i uwag z okazji zbliżającego się Międzynarodowego Dnia Dziecka napisałam z myślą o nas, pisarzach, którym zdarza się — niekiedy lub często — „popętnić” jakiś utwór dla tych najmłodszych. Tych, którzy w zabawach swych i rysunkach odzwierciedlają to co widzą i słyszą. Składają się na to urywki rozmów dorosłych, zastępane słowa z głośników radiowych, strzępy wspomnień z kronik filmowych, opowieści wychowawców. Budowa, budowa, ujarzianie przyrody, nowe mieszkania, nowe fabryki, nowe parki i nowe ulice. Barwny, ciekawy, bogaty świat pracy i pokoju.

Jaki ciężar gatunkowy w tworzeniu się obrazu tego świata odgrywa literatura dla dzieci?

Janina Działowska

MIECZYŚLAW BIBROWSKI

## Czołgi i pieśń — czyli Tartuffe

**S**cena polityki międzynarodowej: kto nie zna tego wyartemowanego języka gacziarskiego. Należy mu się jednak rehabilitacja. Ilek bowiem żywiołu scenicznego tkwi w polityce atlantyckiej!

Według sławnego wyrażenia Marksa fakty i postaci historii występują dwukrotnie — za pierwszym razem jako tragedia, a za drugim — jako farsa. Współczesny imperializm dokonał syntezy: jego postaci występują jako tragifarsa.

W tej tragifarsie jeden zwłaszcza motyw, wybijają się z siłą na czoło — to obłuda. Doświadczenia wysnute z praktyki propagandowej zamka w sobie maksyma goebbelsowska: „Im kłamstwo jest głębsze, tym łatwiej w nie uwierzyć”.

Jest tu motyw Tartuffe'a, który doprowadza przewrotność języka do tego, że aby utrwalic w umyśle omotanego przezeń Orgona swój fałszywy wizerunek osoby miłośniernej, bezinteresownej i pełnej cnót woła doń z okrutną samoironią:

„Tak, mój bracie, jam, nędznik, wydrwisz nad wydrwisze, opryszek nad opryski, filut nad filuty, oczajdusza nieszczerzy, totr ze czei wuzuty, w każdej chwili żywota grzeszę, najniegodniej, moje życie jest pasmem plugastwa i zbrodni”.

Jednym z aktorów tragedii reżyserowanej współcześnie przez zmodernizowanych Tartuffów jest sprawa koreańska.

Toczące się od 26 czerwca 1951 r. rokowania zerwano dnia 8 października.

Dlaczego? Znany finansista amerykański James Warburg wyjaśnił to wówczas publicznie: „Stany Zjednoczone — powiedział — szybko dochodzą do przekonania, że ich główny interes polega na tym, żeby nie było pokoju”, ponieważ właśnie gospodarka wojenna ratuje Stany Zjednoczone od depresji i kryzysu, który od czarnego poniedziałku roku 1929 jest zmorem, spędzając sen z oczu burżuazji amerykańskiej.

Ala próby tej nie można było uczynić codzienną strawą Babbittów, którzy nie życzą sobie wojny. Trzeba więc było pretekstu, przemawiającego do ich uczuć pokojowych i humanitarnych. Pretekst ten znalazł się w problemie repatriacji jeńców, domagając się dla nich „praw” odmowy powrotu do demokracji Korei, prawa do repatriacji „dobrowolnej” — w imię „praw osobowości ludzkiej”, „wolnej woli jednostki” itd. itd. Aby jednak pretekst nie okazał się bezprzedmiotowy, trzeba było, by jeńcy rzeczywiście odmawiali powrotu, a ponieważ było to przeciwnie faktom i naturze rzeczy, wypadało ich zmusić do tego „aktu wolnej woli” siłą. W rachunku tym jednak coś zawiodło. Jeńcy stawili opór. Ponieważ zaś ten opór począł nagle rosnąć, rósł również gwałt prześladowców. W ten sposób Amerykanie, chwyceni we własny potrzask, dowiedzieli się, a wraz z nimi cały świat, co oznacza wolna wola bojowników o niepodległość i

wyzwolenie swego kraju, nawet gdy znajdują się na lasce ślepej siły najeźdźcy. Zdumiony świat ujrzał widowisko, nieznane historii dotychczasowych wojen: masową walkę jeńców przeciwko czołgom, gazom, miotaczom min i salwom „zwycięzców”, na próżno usiłujących utopić ów opór we krwi, walkę, w której jeńcy przejmują inicjatywę i zadają porażkę swoim prześladowcom. Świat oglądał w osłupieniu rzeczy coraz niezwyklejsze: miast załamania jeńców — załamanie się generałów, niewyżytych resztek uczuć ludzkich, jak generalowie Colson i Dodd stwierdzający publicznie fakt masakrowania jeńców; zdziwienie ich następców, jak generała Boatnera, który wydaje swoim wojskom takie rozkazy: „Jeśli znajdziecie się w ogniu walki, walcie jeńców kolbą i bitym w podbrzusza” (Reuter z 26 maja 1952 r.).

Stępień moralne innych dowódców, jak pułkownika George M. Millera, który w ostatnich dniach sesji ONZ wydaje rozkaz zmasakrowania jeńców na wyspie Pongam za śpiewanie pieśni patriotycznych (87 zabitych, 120 rannych) i który następnie zamieszcza w „New York Times” z 21 grudnia 1952 r. obiektywny opis masakry, gdzie wyraża szczere zdziwienie, że jeńcy mimo salw stali nieruchomo i śpiewali dalej.

Ala to oświecenie moralne jest zarazem początkiem porażki prześladowców.

Jeżeliby sięgnąć do drogiego pewnym ideologom zza Oceanu parabol biblijnych, to trzeba by rzec, że Goliat zamienił swoją maczugę na czołgi i miotacze ognia, ale Dawidowi nie zostawiono nawet procy: jedyną jego bronią była pieśń i pogarda śmierci.

Ten akt abnegacji przywrócił nowie ludzkie dostojęstwo, którego usiłowano ją pozbawić, wręczając ją w służbę gwałtu, oszustwa i ignorancji według wzorów Tartuffe'a i Goebbelsa.

Jeżeli wielkie wydarzenia polityki międzynarodowej mogą zawierać w sobie tyle żywiołu tragedii i komedii, czemuż by nieśmiertelny utwór Moliera nie miał okazać zalet traktatu politycznego? Czyż nie o generale Boatnerze, pułkowniku George H. Millerze, ich wysokich mocodawców oraz strategach z amerykańskiego Urzędu Wojny Psychologicznej mówi Doryna w „Świętoszku”, że kłamstwa rozsiewane o przeciwnikach

mają własnym ich grzechem służyć za osłonę i sprawić, przez przeorne do nich podobieństwo, że się światu niewinnym wyda bezceństwo. Tuszą, że im się uda uchylić część publicznej nagany od swych własnych osób.

Jakież genialne przeczuć formuły goebbelsowskiej wraz z jej wczorajszą i dzisiejszą praktyką!

Godnym uwagi jest fakt, że w czasie masakrowania jeńców w Korei światobliwy maż z Departamentu Stanu piastował bez przerwy i piastuje nadal urząd delegata Rady Federalnej Kościołów Sta-

nów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Jeżeli strona chińsko-koreańska długo odrzucała formułę „dobrowolnej repatriacji”, to nie tylko dlatego, że było dla niej jasne, iż formuła ta kryje zatrzymywanie jeńców gwałtem, fizyczną eksterminację jeńców, a moralne łamanie jeńców, celem przedzierzgnięcia ich w kadrę janczarów i rzużenia przeciwko własnej ojczyźnie, ale również z tego powodu, że prawo międzynarodowe, Konwencja Genewska w sprawie jeńców, w przewidywaniu podobnych nadużyć, ustanowiła uroczyste zasady, że z chwilą zawieszenia działań wojennych wszyscy bez wyjątku jeńcy winni być repatriowani.

Stanowisko to wyjaśniały i broniły go na ostatniej sesji ONZ państwa obozu pokoju pod egidą Związku Radzieckiego, i dlatego nie mogły one wówczas zgodzić się na kompromisowy wniosek hinduski, który przyjmował formułę „dobrowolnej repatriacji”. To wystarczyło aby poparać go niezwłocznie dyplomacją amerykańską. Od tego czasu prawda o istocie „dobrowolnej repatriacji”, wyjaśniana z trybuny ONZ i zilustrowana pod koniec sesji masakrą na wyspie Pongam, przeniknęła do świadomości narodów, wywołując powszechną rewoltę sumień. Toteż głośna inicjatywa chińsko-koreańska z końca marca r. zmierzająca do szybkiego położenia kresu rzezi na Korei nie odrzucała już tej formuły i w toku rokowań strona ludowa wysunęła propozycję, zbliżającą się do wniosku hinduskiego, który stał się uchwalać ONZ. Istotą tych propozycji jest stworzenie warunków, w jakich terrorystyczny jeńcy pod ochroną neutralnej komisji repatriacyjnej (ma do niej wchodzić Polska) — mogliby poznać prawdę i wypowiedzieć się swobodnie co do swego dalszego losu.

Wystarczyło jednak podjęcie tej inicjatywy przez stronę chińsko-koreańską, aby negocjatorzy amerykańscy natychmiast ją odrzucili i wysunęli żądanie niezwłocznego „zwolnienia” z obozów tych jeńców, którzy „nie chcą” wracać, to znaczy, mówiąc inaczej, wydania ich w łapy policji Li Syn-mana. Jest zrozumiałe, że strona ludowa musiała te propozycje odrzucić. Negocjatorzy amerykańscy zmierzają, rzecz jasna, do ponownego zerwania rokowań i ostatnie bombardowania terytorium chińskiego są tego wyraźną wskazówką. Ale tym razem sprawa nie będzie tak łatwa. Opinia światowa, nie wyłączając opinii amerykańskiej która ma już stanowczo dosyć wojny koreańskiej, śledzi uważnie każdy ich ruch, ich własni sojusznicy domagają się rezejmę. Pandit Nehru powstaje w obronie swojej rezolucji. I oto zarysowuje się widmo izolacji grupy wojowniczych polityków amerykańskich na forum ONZ jak w ogóle na scenie „polityki międzynarodowej”, izolacji, którą od dawna wieści złowroźnie Cassandra imperializmu amerykańskiego — Walter Lippman z „New York Herald Tribune”.

Po podpisaniu układu o wymianie chorych i rannych jeńców Pentagon ogłosił decyzję, że ci jeńcy amerykańscy, którzy odmówią powrotu, będą traktowani jako dezertjerzy i,

w wypadku schwytania, sądzeni na podstawie wojskowego kodeksu karnego!

A zatem, z waszyngtońskich wyroków „przywilej” „dobrowolnej repatriacji” miał być zastrzeżony wyłącznie jeńcom chińskim i koreańskim. Co się tyczy chłopców z Alabamy czy Colorado, to ponieważ czołgi i karabiny maszynowe generała Boatnera nie miały do nich dostępu, pogrożono im pięścią z daleka, rozkazując im niezwłocznie wracać do domu. Półoficjalny komentarz Pentagonu nie tal obaw, jakie znalazły się u podstaw jego decyzji. Z listów jeńców amerykańskich do rodzin wynikało, że „pewna ich liczba” uległa wpływom komunizmu i, co gorsza, oskarża dowódczo amerykańskie o używanie różnych zakazanych broni.

Zwłot teatru: czy nawet filmu nie przestał się manifestować w trakcie samej repatriacji. „Inscenizacja godna Hollywoodu” przyjęła w Pannundżon pierwszych wymienionych jeńców — głosi czołowy tytuł „Le Monde”. Pierwszych przybyzów zalała prawdziwa inwazja dziennikarzy, radiowców, kinopercatorów i reporterów telewizji.

Według doniesień wielkich agencji zachodnich władze amerykańskie uczyniły wszystko celem odcięcia przebiegłych z rąk ludowych jeńców od reszty świata. Dzienniki cytowały liczne przykłady.

Po kilku dniach scenaria ulegały radykalnej zmianie. Prasa amerykańska obiegła zaczynając jeżące włos opowieści o „marszach śmierci”, głodzie i „okrucieństwie”, o których było dużo wówczas, kiedy czołgi Boatnera torowały sobie drogę pośród ciał jeńców chińskich i koreańskich. Agenci wywiadu nie wzbraniają więcej dostępu do repatriowanych, wręcz przeciwnie, uprzejmie wskazują, że kim należy rozmawiać.

Niestety! Przed rozpoczęciem uwertury zapomniano zestroić instrumenty. Inscenizatorom wypadł z pamięci fakt, że wraz z jeńcami amerykańskimi przebywali w obozach jeńcy brytyjscy. A w mocarstwie atlantyckim coś się psuje... Jeńcy brytyjscy nie nie chcą wiedzieć ani mówić o tych rzekomych okrucieństwach; wręcz przeciwnie, zapewniają dalej, że byli dobrze traktowani.

Nie można jednak wątpić, że naród amerykański otrząsa się ze stanu drętwy moralnej w jaką usiłuje go wtargnąć pewien odłam jego polityków. Dziennikarz francuski Servan Schreiber usiłuje wyjaśnić linię polityki prezydenta Eisenhowera jako wyraz niestałej równowagi między psychozą antykomunistyczną i głębokim pragnieniem pokoju, ożywiający naród amerykański. „Oto dwa prądy — pisze ten dziennik — które, skombinowane w listopadzie, w nieznanej proporcji, wyniosły Eisenhowera triumfalnie do władzy”. Siły te nie dadzą się pogodzić. „Jedna z tych sił będzie musiała opanować drugą, albo zniknąć”.

Wiemy o tym od dawna i żywymy głęboką nadzieję, że siły pokoju wezmą górę nad siłami wojny również w Ameryce. Będzie to zarazem triumf rozsądku nad szalonym Tartuffem, marzącym o zawładnięciu nie mieszkaniem Orgona, ale kulą ziemską.

Mieczysław Bibrowski

## Dumny głos Ameryki Południowej

(Dokończenie ze str. 1-iej)

zajmie się wyznaczeniem i uzgodnieniem najbliższych zadań wspólnych i zbierze się w najbliższych miesiącach w Rio de Janeiro.

Kongres wystosował także apel do intelektualistów pięciu wielkich mocarstw: Stanów Zjednoczonych, Anglii, Chin Ludowych, Francji i Związku Radzieckiego, aby wybrali jedno z państw Ameryki Łacińskiej zjechać się tam i rozmawiać swymi w sprawach kulturalnych położyli fundament pod porozumienie polityczne.

We wszystkich odezwach, we wszystkich przemówieniach na Kongresie Kultury przebiega ów ton dumny, o którym mówił Ruben Dario. Poeta ten w swoim wspaniałym, patetycznym wierszu skierowanym przed kilkudziesięciu laty do prezydenta Stanów Zjednoczonych Teodora Roosevelta w sposób stanowczy, ale pełen godności przeciwstawił się (już wtedy) zakusom Ameryki Północnej do wywarcia zasadniczego wpływu na losy Południa. Do wiersza tego da się zastosować powiedzenie, że „poeta przeczuwa więcej niż wie mądry”, gdyż wiersz ten — podówczas wyraz osobistego odczuwania Daria — obecnie stał się jak najbardziej aktualny i rozumiany jest przez wszystkich obywateli Ameryki Łacińskiej, jako głos ich przekonania, jako nawoływanie do przeciwstawienia starej kultury wolnościowych republik „żelaznym szponom” Stanów Zjednoczonych.

Dzisiaj już nie tylko „przeczuwają” poeci, ale każdy kto naprawdę kocha swój kraj zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa tych zakusów. Kraje Ameryki Południowej są piękne i bogate, jest tam co kochać. Brazylię olbrzymia, rozciągająca się od rozlewisk Amazonki aż po La Platę, pełna lasów dziewiczych, pełna wspaniałych plantacji kawy, ba-

welny, kakao, oplewana przez swoich poetów, opisywana we wspaniałym „kakaowym” eposie Jorge Amado, malowana wspaniałym pędzlem Candida Portinari, który jak nikt inny dostrzegł jej osobliwości. Argentyna — ze swoją wspaniałą stolicą, rozległą i płaską, ozdobioną lazurowymi jeziorami, gdzieś na południowej granicy z Patagonią. Chile o dziwnym kształcie, łono wypelnione słońcem, pomiędzy dwoma niebotycznymi pasmami gór, z białym Aconcagua stojącym na straży! A małe republiki przesmyka Panamskiego? Joaquin Gutierrez, kostarykańczyk osiadły w Chile, wielki nasz przyjaciel, gaduła i doskonały pisarz godzinami opowiada mi o owym „środkim przegięciu Ameryki” — jak nazywa te części swego kontynentu Neruda. Opowiada mi o małej miejscinie San José, która jest stolicą tego kraju, o bananach, o wężach, o moczarach, o puszczech, o wspaniałych owocach... A we wszystkich tych krajach mieszkają ludzie pracowici, inteligentni, zdolni do rozwoju, znajdujący się jednak w straszliwym zaniechanu i potwornie wyzyskiwani. Robotnicy z kopalni miedzi i saletry w Chile, pracownicy rolni, plantatorzy kawy i kakao w Brazylii, kopacze srebra w Peru, poganiane stad, gauce Argentyny, hodowcy wełnodajnych lam w Boliwii — wszystko to są nędzarze, których wyzysk upodobił i skazał na wyginięcie i stan kultury, jakiego już nie zna robotnik nawet najbardziej zacofanego kraju w Europie. W takich samych warunkach trwają tubylcy — resztki wspaniałych niegdyś Mayów na Yukatanie, Kabokle i Guarani w Brazylii, Araukanie w Chile, a wreszcie resztki jakichś Alakalufów — ludzi Oceanu — wegetujące na Ziemi Ognistej...

Widziałem mieszkania murzynów na wzgórzach rozciągających się ponad najpiękniejszymi plażami świata w Rio de Janeiro, są to chałupy sklecone z bryle cegieł, na znacznej wysokości, bez światła, bez kanalizacji, bez wody. Ale są przynajmniej otoczone pięknym lasem, szerzą tam charakterystycznie czy kłokate szerokie liście palm, rosną bananowce, palą się czerwone kwiaty hibiskusa. Podczas kiedy chałupy z dyktu i kartonu, jakie kleci sobie w nocy mieszkawiec Santiago czy Valparaiso, bo w dzień policja mu nie pozwala na zajmowanie miejsc placów, są czymś zupełnie przerażającym. Jeżeli się taki „dom” doprowadzi w ciągu jednej nocy pod dach, to już go policja ruszy nie może. Trzeba więc starannie w ciągu dni nagromadzić materiał, ukryć go przed okiem policjanta, a potem w ciągu kilku nocnych godzin „wybudować”... Z domków tych składa się całe dzielnice, niektóre z nich pobudowano na wąskim przesmyku pomiędzy dwoma ściekami. Jakież kontrast stanowią one ze wspaniałymi, naprawdę pięknymi domami jednorodziinnymi: zamożnych mieszkańców Santiago, otoczonymi ogródkami pełnymi kwiatów i egzotycznych dla nas owoców, albo z pięknymi willami w mieszczańskim stylu miejscowości nadmorskiej, zlewającej się z Valparaiso, a która ma piękną nazwę „morskiej winnicy”, Vicona del Mar.

Wszystkie te przerażające w swym ubóstwie dzielnice, wszystkie prymitywne wsie chilijskie i argentyńskie zamieszkują lud niezwykle uzdolniony. Ceramika wiejska okolic Santiago (osada Pomaire), wyroby srebrne i miedziane, najdelikatniejsze kwiaty tkane z końskiego włosia, wreszcie tkaniny i ozdoby z brązu Indian Araukajskich — świadczą

o wysokim stopniu utalentowania tych biedaków, po większej części analfabetów, przechowujących najstarsze tradycje artystyczne południowo-amerykańskiego kontynentu. Oczywiście mówię tutaj o okolicach, gdzie nie ma pamiętek przastarych kultur prekolumbijskich — tam gdzie one są, jak w Meksyku na przykład, oddziaływały one najwyraźniej na twórczość artystyczną bardzo wysokiego gatunku i sprzyjały powstawaniu takich zjawisk jak współczesna szkoła malarstwa ściennego, którą z takim powodzeniem uprawia grupa malarzy z Diego Rivera i Ligiera na czele.

No, a przede wszystkim muzyka, muzyka i pieśń. Towarzyszy ona wszędzie robotnikowi i chłopu południowo-amerykańskiemu, od kolebki do grobu — rozbrzmiewa weselem tańców, odbija w swym smutku ciężką niedzielę prostego człowieka w pampasach, górach i kopalniach. Śpiewka i gitara — tak charakterystyczne dla Ameryki Południowej — w każdej republice, w każdym zakątku noszą inny charakter, mają jakieś swoje osobliwości. Oczywiście inny charakter nadają im stepy Argentyny (to były pieśni, które najwcześniej, jeszcze w Europie poznałem) inny mają w upalnej Brazylii. Z nimi zapoznaje mnie Zelia Amado, żona pisarza, prześlicznie śpiewająca pieśni rodzinnego kraju. Inaczej brzmi ognista wenezuelska, którą tańczy na zabawie ludowej Joaquin Gutierrez, co innego jest elegancja i żywa Cueca, którą z brzękiem olbrzymich srebrnych ostróg tańczą chilijscy...

Jakież niezmiernie bogactwa kultury kryje w sobie ten potężny a zaniebany kontynent, wystawiony na bezwzględny rabunek i nieczne intrzygi państw imperialistycznych,

gdzie za śmieszczającymi nas nieco przewrotnymi, burzami w szklance wody, zawsze widnieje ręka jakiejś kompanii, czy jakiegos akcyjnego towarzystwa.

„tu morderstwo prezydenta za krople nafty, a tutaj na milion hektarów transakcja, tu pospieszna egzekucja...”

Jak pociąga w swoim wierszu „Standard Oil Co” Pablo Neruda.

„Ołbrzymie zadanie czeka patriotów południowo-amerykańskich, ale też i olbrzymie możliwości otwierają się przed nimi. Zdać sobie oni sprawę z wielkości tych zadań i przede wszystkim pragnęliby stworzyć pewną jedność kulturalną z całej Ameryki Południowej od Meksyku po Patagonię i Ziemię Ognistą. Głos Rubena Dario był przed laty kilkudziesięciu głosem wołającego na puszczę, samotność biednego poety doprowadzała go do rozpaczy. Nikt go nie rozumiał, umarł w o-puszczeniu i biedzie. Dzisiaj działacze, którzy postawili przed sobą olbrzymie zadanie obudzenia świadomości narodowej republik Południowo-Amerykańskich i przeciwstawienia własnej kultury powierzchownej kulturze comiesięj i filmów gangsterskich — nie są już samotni. Czują za sobą mocne oparcie w ludzi, którzy coraz bardziej uświadamiają sobie swoje znaczenie. „Dumny Głos” intelektualistów Ameryki Łacińskiej nie gubi się rozsiąsany w puszczech, pampasach i górskich kordyliarach. Odpowiada mu równie dumny głos ludu: „Jesteśmy! czuwamy!”

Wysłukowi temu, tak szlachetnemu, towarzyszy również sympatia i współczucie wszystkich narodów na całym świecie, które walczą o pokój i postęp!

Jarosław Iwaszkiewicz

NICOLAS GUILLEN

### NIE CHCĘ BYĆ TAKIM ŻOŁNIERZEM...

Nie chcę być takim żołnierzem, któremu można rozkazać, ażeby strzelił do dziecka, do Murzyna, do nędzarza, Ja biednego nie uderzę, nie chcę być takim żołnierzem.

Patrz, jak z nienawiści parska, niby rozjuszone zwierzę; koni pod nim aż dęba stanął, gdy tłum wściekłym okiem mlerzy,

szablą wokół wywija, dzieci, kobiety zabija! nie chcę być takim żołnierzem.

O, wy, żelazne pociągi rozpedzone wzdłuż wybrzeży, gesto nabite wojskami, śpieszące przez krwawe drogi, ażeby bunt uśmięczyć, ażeby strajki zadławić! nie chcę być takim żołnierzem.

O, biedne, zawiązane oczy, nie wście, dokąd się należy! O ręce, nogi w kajdanach tych, którzy w ciemnicy leżą! O, nieszczęśliwi żołnierze, niewolnicy pułkownika! nie chcę być takim żołnierzem.

Gdyby mi dali karabin, powiedziałbym swym kolegom, jak się nim posługuję. Braciom moim hym powiedział, jak się nim posługuję.

Ala mnie broni nie dadzą, bo wiem, jak się nią posługuję, dlatego mi jej nie dadzą. Ani tobie też nie dadzą, ani tobie... bo nie wierzą, że z nas będą, tacy żołnierze, którzy z konia w tłum wymierza!

Tłumaczyła Zofia Szleyen



# Ziemia serdecznie znajoma

## POJEZIERZE

Piękna ziemia mazurska, serdecznie znajoma, jakbyś ty była ziemią rodzinnego domu, jakbym tu niegdyś witał zim śnieżystych dzwonki, jakbym myślał — tu wrócić z wojennej rozłąki, jakbym pisał o tobie, jakbym ciebie wzywał — leż odwieczna i czekaj, rodzinna, szczęśliwa, przecież nie twe w młodości znałem wrzosowiska, skądże, ziemia mazurska, stałaś mi się bliższa?

Jaką ciebie ujrzali repatriantów oczy: granatową od jezior czy przy blaskach nocy, z krzyżackim murem zamku, dźwigniętym przed laty, aby groził po wiekach — tu obce powłaty. Pamięć niosąc swej wioski jak cię mieli witać, wyludniona, przy lasach przez dżiki porwta Plug, który przeciął morza falujących ostów, z nim już związał ciebie, ziemi mojej siostrze..



Zachodów rdza za lasy spływa, deszcze szeleszczą wśród igliwia, zimy śnieżycą w bory lecą. I choć przewieją choć zasypią puszcze, polane, dom pod lipą, lecz chłodem nie tkną serc kobiecych — wliernych jak brzozy wśród dąbrowy, czystych jak wiosną listek nowy, cichych jak woda latem bywa, jak drogi nieba tak otwartych — Najcodzienniejsze z wszystkich skarbów. jedyne z wszystkich skarby żywe.

Pogodne w pracy, bezimienne, nie marmurowe, lecz codzienne, w mazurskich puszczech zatopione. Niebo przechyla z rosą dżbanki i zdołi wina liść przy ganku, wieszając rosy srebrne grona.

Komuż skoszonej powiew łąki, komuż w księżycu puszczy pierścionki i nad jeziorem wschodów listki. Ona gdzie indziej patrzac z ławy, jakby się tedy szło do sławy, odgania roje much z kołyski.

## FROMBORK

Morze i ziemia jak nieba owoce sok kolorów z chmur czerpią do dołu. Pod chmurnym niebem po chmurnej zalocce rybackie kutry ruszają na połow. I widać Frombork z dala niby gniazdko co czeka w listkach pól na piórko blasku.

Wiatr niełaskawy flotyłłę kolebie. Z morza nie widać pomników na lądzie. Tam, astronomie, stoi twa wieżyca, skąd wzrok najśmielszy zatopieś w niebie. I gdyby wiedzieć oznaczało rządzić, tu gwiazdnych światów byłaby stolica.



## ŻURAWIE JEZIORO

Na Mazurach śpiewano piosnkę pełną gorczyzy, jak krajano chleb w kuchni, dając go wyrobnicy. Pola chwiały się złotem i szumiały dąbrowy,

chleb cienutko krajano — jak listeczek klonowy. I nie wiedział listeczek, co na kłonie się chwile, że i on tak przechodzi w smutne ziemi swej dzieje.

## WANDA GRODZIENSKA

# Piszmy dla dzieci—lepiej

Poezja jest rodzajem literackim może najbardziej przystępnym dla najmłodszego czytelnika i na skutek tego dość często stosowanym przez pisarzy jako forma porozumienia się z dziećmi, które nie opanowały jeszcze biegle sztuki czytania. Pozyccje młodzieżowe w naszym dorobku literackim są bardzo nieliczne i nie wyczerpują w dostatecznej mierze postulatów realizmu. Natomiast, jeżeli rozejrzemy się uważniej w dość bogatej liczbowo produkcji wydawniczej dla najmłodszych na przestrzeni ostatnich dwóch lat, musimy stwierdzić wyraźną poprawę. Wzbogacenie tematyki zbiorów dziecięcych zagadnieniami współczesnymi jest niewątpliwym osiągnięciem. Pisarze wyraźnie odeszli od poezji, mającej na celu tylko zabawianie dzieci dźwięczną igraszką słowną. Opisowe, zabawowe wierszyki „dla milusińskich“ ustępują miejsca utworom o treściach poznawczych, wychowawczych i politycznych. Trwa gorączkowe poszukiwanie prostej, łatwej do zrozumienia formy w podawaniu trudnych problemów.

Przejrzałam około 75 książek dla dzieci. Niemal połowa tych pozycji posiada już wyraźną ambicję stworzenia nowego wartościowego typu poezji dla dzieci, która łączyłaby harmonijnie bogactwo treści z ujęciem artystycznym na odpowiednim poziomie. Jakie zagadnienia współczesne znalazły swe odbicie w wierszach? Jest ich sporo. A więc szkoła i przedszkole, budownictwo, przemysł, spółdzielczość, wojsko jako siła obronna kraju, walka o pokój, akcenty internacjonalizmu i przyjaźni ze Związkiem Radzieckim.

Osobny punkt, niemniej ważny, a mianowicie popularyzowanie wielkich postaci historycznych jest w tej chwili liczbowo najsłabszy, da się bodaj ograniczyć do dwóch czy trzech pozycji. Zwracam na to specjalnie uwagę, gdyż będzie to paląca potrzeba najbliższych miesięcy. W roku 1954 obchodzimy święto dziesięciolecia Polski Ludowej. Naszym za-

daniem jako pisarzy jest stworzyć atmosferę tego święta, dać czytelnikom takie utwory, które pogłębią i ugruntują patriotyzm dzieci i dumę narodową z naszych wielkich bohaterów, którzy walczyli i ginęli, i z tych, którzy przetrwali i walczą dotąd o Ludową Ojczyznę.

Ale popularyzowanie postaci historycznych jest tylko częścią szerokiego programu, jaki powinniśmy nakreślić sobie i pomieścić w planie naszej tegorocznej działalności. Dumę i patriotyzm dzieci możemy kształcić, pokazując wielkość przemian w naszym kraju, perspektywy wspianego dalszego rozwoju, możliwości jedynie w ustroju ludowym, w tej niespożytej sile, jaką stanowi partia i uświadamione społeczeństwo. Nie trzeba chyba tłumaczyć nam, pisarzom, jak wielką rolę spełnimy, dając dzieciom prawdziwy, niezafałszowany frazesem i sloganem, obraz naszej rzeczywistości, obraz bogatego życia wśród narastających niemal każdego dnia zdobyczy socjalizmu.

Nie możemy, niestety, sobie jeszcze powiedzieć, że nadążamy za budowniczymi Polski Ludowej. Nie możemy jeszcze z całym przekonaniem powiedzieć sobie, że cel nasz został osiągnięty, że istotnie poezja dla dzieci stanęła już mocno na gruncie realizmu socjalistycznego. Realizm w naszej poezji wciąż jeszcze boryka się z trudnościami, wciąż trwa walka starego z nowym, walka drobnomieszczańskich nawyków międzywojennego startu, a współczesnymi potrzebami wykucia nowej treści w nowej, żywej i bezpośredniej formie.

Niewielka grupa pisarzy dla dzieci, którzy debiutowali w okresie międzywojennym, tzn. przed rokiem 1939, ma specjalnie trudne zadanie. W okresie naszych debiutów literatura była pod presją ówczesnego sanacyjnego rządu, który usiłował odwrócić uwagę obywateli od zagadnień społecznych. W literaturze dla dzieci panowała również aura beznamiętności; literatura ta służyła zabawianiu, a nie rozwijaniu charakteru. Krzewiła tanią dobroczynność, ale nie

W głębi lasów ostróżskich ował wody migoce, pod olchami dokoła rosną bujne paprocie. Może noga sarenki zachrzęściła po trawie, z krzykiem z tego jeziora ulatują żurawie. Paproć ciemnozielona w zamyśleniu się chwile, że nie weszła, nie weszła w pięknej ziemi swej dzieje.

Tak niziutko leciały że dotknęły ich prawie, choć i oni co prawda nie dostrzegli żurawi. Gdzie się młodzi rozdili, o to pytać nie warto: w całej Polsce drzwi domów przed sercami otwarte. I nie wiedzą uśmiechy tej, co w gąszczu się śmieje, że przechodzą, przechodzą w nowe ziemi tej dzieje.



## KRAJ LASÓW I WARSZAWA

Czy ty wiesz, czymże byłaś dla nich tam, Warszawo, dla wsi polskiej, schylonej nad ziemi uprawą — skarbem, trąbką daleką, bronią, skrzydłem, błyskiem, ale skarb można przynieść — tyś zawsze nad Wisłą, trąbka gra, głos jej czysty za lasami zginie

— srebrnym tonem przez wieki ty wzywasz jedynie, czyś ty bronią? Lecz oręż i zaborec bywa — domy twoje plonęły walką sprawiedliwą, skrzydło raz zestrzelone nie uleci więcej — ty wzlatasz — póki istnieć będą polskie ręce, oni cię nie ujrzeli nawet z dala błyskiem — byłaś listkiem na mapie, a dla serca wszystkim.

Czy ty wiesz, czymże jesteś dla nich, miasto młde — granica nie odsuwa cię na krańce światów. Jechały tu wycieczki z leśnych powiatów miecz Zygmunta powitać nad budowy pyłem, z wiosek, gdzie koral zdołi jarzębini zielenie, ludzie stali w kamienne piękno zapatrzeni.

Tu tobie lot, Warszawo — tam dębom kołyski, tobie kilofy, kielnie — tam zboża polyski, tobie dymy i wieńce — tam na dnie niebiosa, tobie w lunach pomniki — tam zieleni pokosów, tam ognisko przy koniach plonie na noclegu,

śpiew jeziorem lejący aż z drugiego brzegu, ktoś nie westchnie i czyje serce nie zabije, koło gdzieś zaturkocze nieznane, niczyje.— Czy ty wiesz, piękna ziemia, czym też jesteś dla nas?

## O W I E S

Junklerskie dawniej, dzisiaj państwowe mieni się owsa pole młowe. Srebrzy się owies świtów kropkami, rdzawi się owies zachodów rdzami, czerni się owies na szkle miesiąca, faluje owies — wiatr go zamaca, i wleżał się wspina kłosem ku górze i milcząc ludziom służy i służy.

Jelenie schodzą o świcie z pola, nurzając w puszcze rogów półkola. I jakby tutaj nigdy nie przyszły, znówu się srebrzy owies srebrzysty. Lis patrzac bacznie przystaje w trawie — i znów się owies rozległy rdzawi, i znów się owies czerni i czerni, z dala od ludzi słując im wiernie.

Gdzieżby tu mieszkał pruski milioner, chwileje się owies srebrnym pokłonom, z winem kryształowy dźwięcz w Berlinie, rdzawi się owies, rdzawi jedynie, arie Wenecji, lampy gondoli, milczące szerokie czerni się pole, to jedno wiedział w ciągłej podróży: tam jemu owies jak złoto służy.

Rolnictwem gardząc i krwią słowiańską, uwielbiał sztukę, lecz nieco z pańska, i nie mógł pojąć pruskim umysłem, jak można kochać płaski za Wisłą. A oni zewsząd wracali znówu, srebrzy się owsa pole młowe, serce nie ucisza Rzymu marmury, rdzawi znów owies, zachód u góry, bo tylko w Polsce mocni mistrzowie z czerni i blasku rzeźbili owies. Faluje owies aż hen po wzgórza, jak ludzie polom, on ludziom służy.

## W LEŚNICZÓWCE

W puszczech wiatrami kołysanych wdnęły domki na polanach, kragłych jak tarcze słoneczników. Niebo na każdą promień zrzuca, bo ma w obłokach tyle kluczy ile tych polan i leśników.

Mech pełznie, sosna tuż przy sos... a na nlich sółki wleглолоśnie włoda jarmarki swe od rana. Grządkli równiutkie i maliny, dym leci, wstała leśniczyna, weselsza z dymem tym polana.



tylko wiersz poety. I to jest wielkie oddziaływanie utworu lirycznego.

Mówiąc o poezji która wzrusza nie chcę powiedzieć przez to, że jest to jedyny sposób przemawiania do dzieci. Są i inne rodzaje wiersza — utwory żartobliwe, satyryczne, często nawet tylko opisowe, które nie mniej mocno wzbogacają wiedzę dziecka o otaczającym go świecie. Ale wiersz musi dziecko zainteresować, zmusić do myślenia, rośmieszczyć, lub wzbudzić podziw. Do młodszych dzieci przemawiają utwory, które posiadają żywą akcję i zabawne sytuacje, utwory, które mówią dziecku o nim samym, o jego kolegach, o sprawach, które mu są bliskie i znane.

Nie wystarczy mówiąc dziecku o szkole pokwitować wiersz zdawkowym stwierdzeniem: „dzieci chodzą do szkoły”, lub „dzieci uczą się pisać”. Musimy pisać tak o szkole, aby mały czytelnik odnalazł w utworze samego siebie, swego kolegę lub nauczyciela, aby wiersz przypominał dziecku, że właśnie pod oknami jego szkoły rośnie nowy dom, że jego ojciec, czy matka pracuje na pobliskiej budowie, czy w fabryce.

Albo starajmy się nie podawać tych wiadomości w formie gazetowej wzmianki. Starajmy się stworzyć króciutką, interesującą fabułę, pokazać dzieciom postać ich rówieśnika w ten sposób, aby zachęcał do naśladowania i sylwetkę rówieśnika, którego wady odrzucałyby dzieci.

Bogactwo tematyki naszej epoki etwarza tyle możliwości dla poety, tyle podsuwa mu wrażeń i przeżyć! Gdyby to wszystko, na co patrzymy, znał o odzwierciedlenie w poezji dziecięcej — poezja ta stałaby się żywą kroniką naszych czasów. Ale jest jeden warunek: aby poetycka twórczość dla dzieci była trwała poezja i aby oddziaływała na czytelnika, musi ona być na dobrym poziomie artystycznym. Tak się złożyło, że w ostatnim roku w związku z rozwojem spółdzielczości na wsi, wydawnictwo zmobilizowało kilkuset pisarzy do cyklu krótkich poematów na temat sojuszu robotniczo-chłopskiego i przemian w życiu chłopów w ustroju ludowym. Utwory te przeznaczone dla dzieci wiejskich, zostały wydane w trzydziestoroczowych książeczkach-hamernikach.

Jakie rezultaty dała ta akcja? Przejrzałam po kolei kilka książeczek z tego cyklu. Tematów rzeczywiście dużo, a wszystkie pozytywne i celowe, a więc: historia córki małego chłopca, której SP pozwala zdobyć fach i pracę w fabryce; przyjazd ekipy lekarskiej na wieś; nieufny chłop-biedniak, którego elektryfikacja wsi i pomoc robotników miejskich przekonują o osobistych korzyściach, płynących z sojuszu robotniczo-chłopskiego. Państwowy Ośrodek Maszynowy, jako czynnik ułatwiający pracę chłopów; motoryzacja wsi dzięki rozwojowi przemysłu w ustroju ludowym; wymiana towarowa między wsią i miastem; przedszkole wiejskie w dawnym pałacu wyzyskiwacza — ziemiannina itd. itd.

A teraz przeczytajmy sobie kilka fragmentów:

Zabolały Zorzę zębu,  
buzia spuchła jej jak bania.  
— Mamo, tak mnie strasznie boli,  
boli nie do wytrzymania.

Biega mama, głowę łamie,  
żeby pomóc swej córce,  
robi okład i plukanie,  
a żab boli, buzia puchnie.

Wtem, gdy Zosia wciąż wyrzeka  
przeciw zębom i bólom,  
wchodzi sąsiad: — Wiam, wiam!  
Czy w tym domu wszyscy zdrowi?  
(H. Gaworski)

A oto fragment z innej książeczki:

Matka Basi we wsi Młynki  
na dwóch morgach gospodarzy.  
— Jaki będzie los dziewczynki?  
z sąsiadkami matka gwarzy.

Tak się martwi biedna wdowa.  
Ziemia licha i jatowa,  
Basi przecież nie wychowa.  
A tu jeszcze kwili w chacie  
dwóch braciśzków, Jaś i Maciek.  
(S. Paprocki)

A oto próbka wykładu nauczyciela w wiejskiej szkole:

— Twój ojciec, Zosiu płacił  
przed wojną  
nieładną pracę, długą i znojną,  
bądź oddawaniem większości  
zbiorów  
za pożyczoną maszynę z duoru  
lub od bogacza. Gdy raz wpadł  
w sidsa,  
już mu na zawsze ta „pomoc”  
zbrzydła.  
(Cz. Bielak)

Czy te rymowane traktaty mają coś wspólnego z poezją, czy to jest istotnie rzetelna walka o osiągnięcie jednoci treści z poziomem artystycznym, co przecież stanowi najważniejszy postulat realizmu socjalistycznego?

W przededniu nowych zadań, które nas czekają w związku z dzielecielcem Polski Ludowej musimy wzmocnić jeszcze starania o prawdziwą poezję na wysokim poziomie artystycznym, poezję, kształtującą świadomość dziecka tak, aby stało się w przyszłości pełnowartościowym obywatelem ludowej ojczyzny.

Wanda Grodzienka

## ARKADY FIEDLER

# Dzieci bez nieśmiałości

## FABRYKA I DZIECKO

Nie ma w tym przesady, jeśli Związek Radziecki nazywamy krajem najszcześliwszych dzieci.

Kiedyś, bezpośrednio po zwiedzeniu fabryki im. Stalina, słynnego ZIS-u, wpadliśmy do jednego z czternastu przedszkoli, należących do tego kombinatu. Mieliśmy właśnie południe. Panował grudniowy mróz, kilkunastostopniowy. Pora na wizytę była nieodpowiednia, bo wszystkie bachory po obiedzie smacznie spały w swych łóżeczkach jak susły. Było ich 125 w kilku jasnym, czystych salach. Kroczyliśmy na palcach między ich łózkami i — tego marzi. Wszystkie okna były na oścież otwarte, w salach panował kilkunastostopniowy mróz. Dzieci nie czuły go, gdyż z wyjątkiem odkrytych twarzączek całe zawinięte były w solidne skórzane worki niby małe Eskimoski. Skutki tych higienicznych zaleceń z mrozem czytano się na buziach śpiących dzieciarni: różowe, pełne policzki, podobne do

w muzeach, sierocińcach, w pałacach pioniera. W tych pałacach, w których tysiące dzieci i młodzieży przebywa w godzinach pozaszkolnych, są do ich dyspozycji najcudniejsze zabawki, jakie umysł ludzki wymyślił, są instrumenty, narzędzia i laboratoria dla starszych. Zabawy i rozrywki mają wyraźny cel i cel ten z powodzeniem osiągają: ucząc młodzież doznawać wzruszeń w graminie, ucząc ją czuć i myśleć społecznie, zaprawiają ją do późniejszych obowiązków i kierują na przyszłych sprawnych obywateli Kraju Rad.

Co nas u wszystkich niemal dzieci mile uderzało, to brak u nich nieśmiałości, zażenowania wobec obcych. Dzieci radzieckie, i to już siedmio-, ośmioletnie, mają wielką ośmiałość, zachowują się i odpowiadają swobodnie, z pewną godnością, są, słowem, grzeczne i rozumne. Związane muzeum Ostrowskiego, urządzone w jego moskiewskim mieszkaniu, natknęliśmy się przypadkowo na grupę pionierów. Gdy młode dziewczątka dowiedziały się, że stanowi-

kład w utworach fantastyczno-naukowych. Autorzy nieraz mocno muszą się bronić, ale i literaci, i pedagodzy zgadzają się co do tego, że wszyscy oni wynoszą nadzwyczaj cenne doświadczenia z tych rozmów z młodzieżą.

Gdyśmy Dom Książki Dziecka odwiedzili, była późna pora dnia, młodzieży czytającej już niewiele. Z dyskretną ciekawością zagladaliśmy do książek, jakie czytano. Oczywiście te same, za jakimi przepada młodzież na całym świecie: Jules Verne'a, Jacka Londona, Dickensa, podróże po dalekich krajach.

Gdyśmy Dom opuściliśmy, Scibor-Rylski wskazywał na mnie szepnął jednemu z czytających chłopaków, może dwunastoletniemu, że między nami jest literat, który jeździł jako przyrodnik po Amazonce, po Kanadzie i gdzie indziej. W mig wiadomość rozniosła się wśród dzieci i młodzieży wywołując sensację. Wygłęły na korytarz, by przypatrzeć się i poznać takiego podróżnika. Niestety, nie było już czasu, by uciąć miłą gawędę, i rozeszliśmy się wołając do siebie różne serdeczności i „do swidania”.

## GALINA GORBATEŃKO

Wielkie wrażenie zrobiło na nas Muzeum Podarków dla Stalina w siedemdziesiąt rocznicę jego urodzin. Tadeusz Konwicki w „Nowej Kulturze” nazwał je pięknie i bardzo słusznie Muzeum Miłości do Człowieka. Muzeum zawiera dziesiątki tysięcy darów, przesyłanych przez przyjaciel z wszystkich zakątków świata. Czego tam nie ma od olbrzymich, całociennych kilimów i potężnego obrazu Chmielki, przedstawiającego „Triumf zwycięskiego narodu”, poprzez dwumetrowe kryształowe wazony radzieckich hutników szkła, poprzez modele maszyn polskich robotników — aż do chińskich filigranowych rzeźb z kości słoniowej. Wszystkie działy sztuki, rzemiosła, przemysłu, wszystkie możliwe zawody przysłały tu, co umiały wykonać najpiękniej, najpracowniej i w co potrafiły wlać najwięcej swego uczucia. Iż pomysłowości, artyzmu, perfekcji.

Zwiedzających było wielu, szli nieprzerwanym prądem potokiem, w każdej nowej sali doznając nowych wrażeń i zachwytów. Ale wśród tych wspaniałych, okazałych eksponatów niektóre, właśnie najprostsze, skupiały najbaczniejszą uwagę. Robotnicy któregoś z państw arabskich, zdaje się Transjordanii, przysłali jakieś niepokażne choć piękne wyroby ze skóry koziej. Zwiedzający z uznaniem zaliczali do tych darów: „Skromne są nasze dary” — mniej więcej tymi słowami usprawiedliwiali się arabscy robotnicy — „ale ufamy, że będą przyjęte, bo ofiarujemy je najskromniejszemu na świecie człowiekowi”.

Najwięcej tkliwych uczuć, jak zdążyłem zauważyć, wzbudzała mała, niepozorna gablotka, w której było tylko jedno świadectwo szkolne dziewięcioletniej Galiny Gorbateńko z miasta Frunze i kilka jej słów, dołączonych na osobnej kartce do tego dokumentu. Świadectwo miało same piękne, a słowa dziewczynki wyśmiali, że to „najlepszy dar, jaki mogła wysłać Stalinowi”. Jeśli ta lapidarna prostota, pełna czułości i zarazem patosu, wszystkich tak głęboko wzruszyła — a wzruszyła zapewne już milion ludzi przed nami — to dlatego, że z postacią ukochanego Wodza i Ojca łączyła tu się sprawa, może najbliższa sercu wszystkich ludzi radzieckich, mianowicie sprawa oświaty, nauki i kultury.

Arkady Fiedler

## EDWARD HOŁDA

# Do prokuratora w Miechowie w sprawie Katarzyny Rawińskiej

Dzban gliniany na desce — niby pogańska urna.  
Kopące palenisko. Izba nieomal kurna.

Okno na park wychodzi, lecz park się nie zieleni;  
nie można oczu wyrwać z opajęczonych cieni,

nie można woli wydrzeć z nędzarskiej zaleźności,  
nie można czoła podnieść ni wyprostować kości,

nic nie można.

Jemu się — poszczęściło. Napchał do domu mebli,  
wybetonował podjazd; jest dlaczego narzekać.  
Nawet wiatr jak parobek trawę w sadzie mu zgrzebił.  
Wrota kółkiem zaparte — niechcąca do człowieka.

On do bryczki zaprzęga, na konia strzela z bata.  
Ona mu, stróżka, w mieście kamienicę omlała.

Boże, gdyby uzmiatać gnoju choć ze dwa wozy,  
nafty by można kupić, otrąb trochę dla kozy.

Raz koło Wielkiej Nocy, serce nieobojętne  
kromkę placka jej daje: ze szczerości... oświłtne.

Od lat czterdziestu blisko, od lat czterdziestu blisko.  
Podwórce jej nogami ubite na klepisko,

ręce w szramach i węzłach, na popiół stiałe włosy.  
Osłem lat naszej władzy. Czas już powiedzieć: dosyć.

Dosyć głępioty z kóz, dosyć zgnieł powały,  
co na głowę się wali. Pleśń. Ślany popękały.

Dosyć tych ścian, dość pleśni, rynki z jałową strawą,  
zimna trosk, niepewności... Jest ludowe prawo,

Dziś jedenasty maja, rok pięćdziesiąty trzeci.  
Uczeń miejscowej szkoły nad podręcznikiem śliczy.  
Rosną ludzie. Miasteczko idzie jutro naprzeciw,  
żywoplot kłamstw rognarła, wzywała się z pajęczyn.  
Przestraszona — w zaułek dach gdzieś wtula rudera,  
lamie z rozpaczny kroków. Szumi wiosenna pora.  
Od spółdzielni, ode wsi dech majowy napiera,  
a tu — kulactwo, wyzysk; pańskie, ziemiańskie wczoraj.

Nie zostawiać nam krzywdy sam na sam z naiwnością;  
krzywdzonej trzeba pomóc, krzywdzie korzenie podciąć.

Ten rachunek jest prosty, fakt iż przecież uraga:  
za czterdzieści lat służby — złamanego szelaga.

Niech te lata określi rozmiar szkody i winy.

Winny nazywa się Idzik.  
Adres — Kalina Rędzina.

# RAFAŁ PRAGA

Dnia 24 maja 1953 r. śmierć wyrwała z szeregów ludzi pióra Rafała Pragę, redaktora naczelnego „Expressu Wieczornego”, wybitnego publicystę, autora znakomitych scenariuszy do filmów wymownych i bojowych — jak „Odpowiedź”.

Zmarł nagle, pochłonęły niestrudzoną, wielostronną działalnością. Straciłszy człowieka szczerze i gorąco służącego sprawie socjalizmu, pełnego niezmordowanej inicjatywy, energii, pomysłów, młodości, radości życia. Od pierwszych swych felietonów aż do ostatnich artykułów, scenariuszy i przemówień — był oddany bojownikiem sprawy ludu. Dobrze zasłużył się literaturze polskiej i teatrowi udzielać ich sprawom wiele miejsca i uwagi w redagowanym przez siebie piśmie. Swoją szeroką popularność zawdzięczał szczerzej ideowości i socjalistycznej trosce o sprawy ludzkie. Opuścił nas przedwcześnie człowiek twórczy i prawy. To co można o nim powiedzieć tak da się streścić: wszyscy, którzy go znali — kochali go. I zasługiwał na to.

ZESPÓŁ „NOWEJ KULTURY”

## LUDWIKA WOŹNICKA

# Ocalenie

Wydmy olśniewały białą. Zimne i twarde, skrzyły się jak drobny, rozsypany cukier. Zdawały się falbanianą pianą, białym obrąbkiem, wyhaftowanym wokół morza. Norbert nie pamiętał już morza zupełnie, a może nie widział go nigdy w życiu? W każdym razie nigdy nie widział białej, oszroniałej wierzby na tle różowującego zachodu. Ale ani trochę mu się to nie podobało, wcale nawet nie patrzył. Niespokojne, strapione oczy wlepił w budynek, ledwie widoczny poprzez konary, za zakrętem drogi.

— To tu? — spytał towarzyszącego mu milicjanta. Musiał się zastanowić przed wypowiedzeniem tego pytania. Aż poczerwieniał z wysiłku i z emocji. Jednak się udało! Powiedział te dwa słowa niebłotliwie i wyraźnie, bez zająknięcia. Tyle że zbyt głośno i tonem nie naumyślnie groźnym. Milicjant, różowy blondynek niewiele starszy od Norberta, skwapliwie potwierdził, dla powagi podciągając pas. Rad był, że się Norbert wreszcie odezwał — po raz pierwszy od rana — od chwili, gdy opuścili progi Pogotowia Opiekunczego. Przez całą drogę nie reagował na zachęcające zagadywania o pogodzie ani na uwagi, że pociąg wleciał się jak na pogrzeb. Tylko na jedno pytanie — czy nie głodny — odpowiedział twierdząco, a potem wielkimi łykami, ale odpyczywając co chwila, jakby wcale nie był głodny, zjadł aż cztery bułki z kiebasą. Na inne pytania nie odpowiadał wcale, potrzasał tylko głową, patrząc nie-

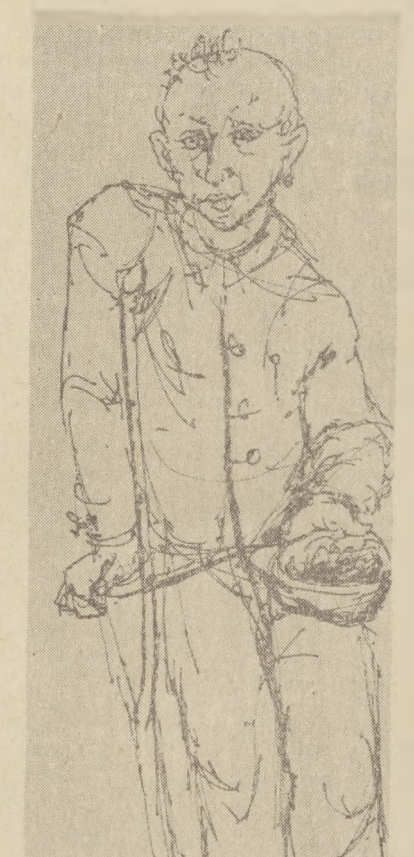
zmennie na ziemię, pod nogi. Jego milicjancie towarzyszyło dosłownie przynajmniej świeżo upieczonego stróża bezpieczeństwa w cywilu, Janka Grzeziela, zawodnika Ligi w koszykówce. Toteż milicjant podchwycił skwarliwie to, co uważał za próbę rozmowy ze strony chłopca. Otartyszy pot z czoła zapewnił, że Zakład to właśnie ten szary budynek, że już bardzo blisko. Dodał, że w Zakładzie będzie na pewno dobrze, Norbert nie powinien się bać. Kierowniczka jest miła. Dla dalszego podtrzymania rozmowy rozejrzął się po okolicy, olśniewającej w tej chwili tysiącem tecz, przelamanych w szronowych igłach, a nakrętych nieskalanym kłosem nieba w najjaśniejszym kolorze, i zwrócił uwagę Norberta na okoliczność, że powietrze tutejsze można by jeść albo pić, jak wino. Dla demonstracji zacerpnął natychmiast głęboki łyk tego powietrza, orzekł, że to bardzo zdrowe na płuc i... zamilkł gwałtownie. Posmutniał, wyduł wargi, aby zagłuszać, ale i do gwizdania przeszła mu ochota. Dlatego tak nagle umilkł, że w czasie swego wykładu o Gastyńskim powietrzu spojrzął na Norberta i zaraz zrozumiał, że owe dwa wyrazy, które mu się wymknęły przy końcu drogi — to nie była żadna próba nawiązania rozmowy z jego strony. Nie, Norbert nie pragnął żadnego z nikim kontaktu. Milczał i patrzył pod nogi. Pod jego nogami świeży śnieg ugiął się miękko, niby królicze futerko, ale Norbert patrzył zgaszonym wzrokiem jak na bioto. Może zresztą było mu trudno chodzić po

śniegu o dwóch laskach. Milicjant chciał mu pomóc, podeprzeć ramieniem, ale znowu Norbert odsunął się niechętnie, jak tylekroć w ciągu drogi. Na szczęście droga już się kończyła, skreślił i — oto stał tuż przed szarym domem. Milicjant pchnął furtkę. Stara, niesłychanie tłusta, ale dobrze też wylepiła wilczyca dwa razy szczenięta z obowiązkami i pokreśliła ogonem na powitanie — i byli na miejscu. Na miejscu, to znaczy przed szeroko otwartymi drzwiami, zapewne od kuchni, przez które właśnie okragła i ruchliwa kobieta w koszuśku usiłowała wtłoczyć spory worek kartofli. Na widok wchodzących postawiła na chwilę worek i otarła z czoła kroplistą, rzadki pot. Ręką wskazała główne wejście, którym były drzwi też nie bardzo wspaniałe, dość wąskie i niewyraźnej barwy.

— Zaraz przyjdę! — krzyknęła do milicjanta, który skłinał na to poważnie głową i — pomagając Norbertowi wejść po trzech schodkach — objaśnił cicho, że to właśnie jest kierowniczka. Potem szli świeżo mytym korytarzem i milicjant namyślał się, które drzwi pchnąć, gdzie właściwie mają poczekać. Wybrał z dylematu w ten sposób, że otworzył pierwsze lepsze drzwi. Pokój, w którym się znaleźli, była to duża, ziejająca pustką i chłodem, niezagospodarowana świetlica. Portrety wisiały już na miejscach, krzesła stały równo, jasno pomalowane ściany świeciły czystością. Więcej nic tu nie było — ani śladu czyjejkolwiek obecności.

Milicjant spieszył się na podłogę, a tymczasem kierowniczka wciąż jeszcze dźwigała kartofle, więc zaczął się denerwować: sztykami krokami przemierzał pustą świetlicę, gapił się przez okno na morze, wzdychał, gwizdał, przestępował z

nogi na nogę — jednym słowem robił wszystko, czym ludzie usiłują zazwyczaj oszukać swoją niecierpliwość, a co nigdy nikomu nie pomaga. Co do Norberta, to nie niecierpliwił się wcale. Na nic bowiem nie czekał. Po prostu usiadł



na krześle i siedział, nie rozglądając się ani o niczym nie myśląc. No, nareszcie milicjant usłyszał śpieszne kroki.

— Teraz — pomyślał sobie — rzecz pójdzie piorunem, bo do zda-

nia jest bardzo mało rzeczy. Tylko zakładowe ubranie i cienutka teczka z papierami.

Rzeczywiście, kierowniczka, która ra po chwili wzięła w rękę cały dobytek Norberta, zdziwiała się głośno, że to już wszystko. Prosiła, żeby przesłał z nią do magazynu i po drodze usprawiedliwiała się, że dała na siebie czekać. Usprawiedliwiała się także, że świetlica taka jeszcze nie urządzona i zimna — to przez to, że nie ma węgla. Podnosiła ręce do głowy, by upiąć ogromny, ciemny węzeł sypkich, cieniusieńkich jak pajęczyna włosów i zdawało się, że tym gestem wyściaga ręce po pomoc. Powtarzała:

— Nic nie ma, nie ma jeszcze! — głosem, który miał być raźny, a był załośnie cieniły, przejęziony, słaby. Milicjant Grzeziół przyjrzał jej się: nie była tak młoda, jak się zdawało na dworze, jak myślał do tej pory, spotykając ją w Pogotowiu Opiekunczym. Postarzała przez te parę tygodni, od czasu gdy została kierowniczka zakładu dla dzieci obojętnych w rozwoju. To może nawet lepiej — pomyślał — będzie miała większą powagę. Wprawdzie była ładnie, młodo zarumieniona z mrozu i ze zmęczenia, ale pod oczami leżały wielkie, atramentowe cienie. Grzeziół przenosił wzrok na obojętną, nieprzyjemną twarz Norberta i pomyślał z wielkim współczuciem:

— Biedna! Mieć na głowie ze trzydziestu takich jak ten ananiasów, to kobito do grobu wpędzą... W tej chwili kierowniczka także spojrzała na Norberta, na jego twarz niechętną i na oczy, których spojrzenia nie udało jej się pochwycić.

— Nazywasz się Norbert, prawda? — spytała, potrażając trzymanymi w rękę papierami. I nim zdążył odpowiedzieć (a trzeba przy-



ARTUR SANDAUER

## Poeta „świętej powszedniości”



K. I. Gałczyński

Działo się to w latach 1926-1939. Przeciw pokoleniu mieszczańskim reformistów, krytykujących własną klasę, ale pozostających wciąż w jej obrębie i zawsze gotowych rozgrzeszyć ją i siebie dowiecipem, eklektykowi, dostrzegających w każdym medalu drugą stronę, występuje wówczas nowa generacja drobnomieszczańską, która głosi nie umiar i tolerancję, lecz bezwzględność i trwałość. Czasy, w jakich się kształtowała, były ciężkie, życie coraz trudniejsze; trzeba było doprawdy „bić na prawo i lewo, by były rzeczy najprostsze: mięso, chleb, drzewo”). \*) Nie do dowiecipu i nie do autoironii było tym ludziom, zagrożonym w swym powszednim bytowaniu. Warstwa ta, którą czeka nieuchronna pauperyzacja, trzyma się rozpaczliwie cech, różniących ją od proletariatu: sztywnego kólnierzyka, kraty, kapelusza, które utwierdzają ją we własnej godności klasowej. Czuję ona, że ideologowie starszego pokolenia ją oszukali, że na nie „wolność i równość” gdy w brzucho pusto, że nie długodystansowe reformy, ale jedynie doraźna zmiana może ją uratować. Odrzucając liberalne ideały jako czcze abstrakcje, wyznaje ona kult naocności, nagich faktów, z których pragnie stworzyć nową, samodzielną syntezę; słowem szuka własnej ideologii klasowej. Szkołubił jednak w tym, że drobnomieszczaństwo — zbyt oddalone od ośrodków dyspozycyjnych współczesnego życia — nie potrafi wytworzyć samodzielnej ideologii. Proletariusz ma bezpośrednio nad sobą sprawcę swej nędzy; ale drobnomieszczańszczyzna ma tylko sąsiadów sklepik lub warsztat, który mu przechwytyje klientów. Truśnięta są poza zasięgiem jego wzroku; dzieli go od nich zbyt długi szereg ogniw pośrednich.

Istnieje jednak ktoś, chłodny i wyrachowany, kto śledzi jego wahania, kto zna jego lęk przed stoczeniem się i myśli, by wykorzystać go dla celów własnych, by armii proletariatu przeciwstawić armię drobnomieszczańską na swoim żołdzie. Aby przechwycić te bezrobotne ręce, wielki kapitał skłonny jest nawet do pewnych ustępstw: zgodzi się, aby na szlendarach jurgielników pojawiło się retoryczne hasło: „Precz z kapitalizmem!”, byle móc zachować kon-

\*) K. I. Gałczyński: „Pieśń cherubinśka”.

znać, że z odpowiedzialnością nie spieszy się wcale, uśmiechnęła się do niego, kładąc mu rękę na ramieniu. Zatrzymali się tedy na korytarzu wszystkich troje.

— Masz już czternaście lat, prawda? — spytała kierowniczka znów w ten sam sposób, nie czekając na odpowiedź. — Będziesz, przynajmniej na razie, najstarszy tu u nas. To świetnie, że przyjechałeś! Pomóżesz mi, prawda? — Znowu nie czekała na odpowiedź, natomiast udało jej się złowić wzrok Norberta. Popatrzyła w jego szare, czujne oczy tak długo i serdecznie, że udało jej się przełać w nie trochę własnego uśmiechu.

Załatwiono wreszcie formalności i Norbert naprawdę był już przyjęty. Rozejrzał się więc po nowym miejscu z niemrawą ciekawością, a raczej tylko ze śladem ciekawości. Poznał w życiu wiele nowych miejsc i nie spodziewał się niczego dobrego, chociaż kierowniczka przypadła mu do serca. Niepokoili się tylko o to, jak tu karmią. Ale o tym przekała się zaraz, bo kolacja za parę minut. Tymczasem oglądał nowe rzeczy, o których dotychczas nie wiedział, że są nie jego, tylko zakładowe, więc się nimi nie cieszył. Złożył je jednak pięknie, przeprosił i ułożył starannie w szafce. Potem przeszedł się między łóżkami w nowej swojej sypialni. Inne łóżka były jeszcze niezajęte, tylko na paru leżała pościel. Jakichś chłopczek ustawił na stoliku przy łóżku całą kolekcję zdjęć rodzinnych. Inny, nie wiadomo dlaczego, jakby jaka dziewczyna, ozdobił swój stół wielkim sercem, ułożonym z muszelek. Norbert muszelek obejrzał z uznaniem, na zdjęciu rodzinne nawet nie spojrzął, po czym usiadł bez ruchu na swoim łóżku, czekając na kolację. Nie miał on nic takiego, co można by ułożyć

na stoliku, w ogóle nie miał nic swojego. Na ten temat właśnie toczyła się rozmowa w kancelarii, gdzie kierowniczka uważnie czytała papiery Norberta. Jedynie, jakie ma, to znaczy: kartę zdrowia, kartę obserwacyjną z Pogotowia oraz wywiad społeczny. Żadnych świadectw szkolnych, żadnych listów od rodziny, ani od nikogo — nic więcej, nawet metryki nie ma.

— Metrykę — wzdycha kierowniczka — trzeba będzie odtworzyć, to dalsza sprawa. Gorzej, że to analfabeta! — i kierowniczka wzdycha. Co robić z tym chłopakiem? Powinien właściwie iść do szkoły, do pierwszego oddziału, ale czy go przyjmą? Przecież on niebawem będzie poza obowiązkiem szkolnym! W dodatku jest chory, po helne-medicine... Nie ma czasu dłużej się nad tym zastanawiać, bo dzieci wracają ze spaceru, robi się gwar, trzeba podawać kolację, trzeba pilnować, żeby umyły ręce, trzeba pilnować, żeby porządnie jadły, trzeba sprawiedliwie dzielić strawę, bo obawy Norberta okazały się słuszne: źle tu karmią.

— Więc umiesz czytać?

— Tak.

— Przeczytaj mi to — i kierowniczka otwiera książkę na chybił-trafił. W całym domu jest cicho, pusto, bo dzieci w szkole. Słychać jak nierównomiernie tyka stary, dychawczy zegar kupiony za psie groznie i wiecznie zepsuty. U stóp tego zegara, na stole leży otwarta książka, a nad nią siedzi Norbert, chmurzy jak wczoraj, ale mniej spokojny i mniej grzeczny, z oczami pełnymi łez. W kancelarii są sami z kierowniczka, co jest bardzo naturalne, gdyż oprócz niej w Zakładzie pracuje jeszcze tylko woźny, stary Kaszub Derlau, kucharka

cztery brzozy i klon piąty,  
cicha zima, srebrny Anin...  
myśli Lolo: czy ja wiem...  
zima... brzozy... coś jest w tem.  
I powoli syty snem  
budzi się w Lolu Polanin.

Ale drobnomieszczaństwo nie jest klasą; nie stać go na ideologię własną; aby wytworzyć przynajmniej jej pozory, musi powołać się na czynniki irracjonalne, na czysty woluntaryzm. Toteż liryka drobnomieszczańska lat trzydziestych traci komunikatywność, wyrzeka się pojęciowości i operuje nieomal wyłącznie obrazowaniem i muzycznością. W latach tych „Skamander”, owo umiarkowane centrum poetyckie, posługujące się w równej mierze myśleniem dyskursywnym, co obrazem i muzyką, ponosi zdecydowaną klęskę; młodsze szkoły operują swą poetykę na wyłącznej eksploatacji jednego tylko z poetyckich środków działania: wizualną przenośnią monopolizuje szkoła krakowska z Przybosiem na czele, muzyczność dominuje wyraźnie u Czechowicza i u Gałczyńskiego. I jedni, i drudzy odznaczają się od eklektyzmu Skamandra: ale kiedy nierałistyczna przenośnia Przybosia ma zawsze sens racjonalny i pod skomplikowaną formą kryje myśl na ogół jasną, to u Gałczyńskiego — odwrotnie — nieprzetłumaczalne często na język logiczny treści docierają do czytelnika jedynie dzięki rytmiczności formy. Tak np. w słynnych niegdyś „Skumbriach” twardo wybijały rytm „Skumbrie w tomacie, pstrąg” przenosi niejako czytelnika samym swym rozpadem ponad niedorzecznością treści i nadaje temu — bezsensownemu skądinąd — wierszowi wyraźny sens polityczny. Rytm, który w poezji klasycznej był głosiłkiem treści racjonalnej, tutaj staje się przemyślnym nonsensu. Metoda kompozycyjna przed i tuż-powojennych wierszy Gałczyńskiego stanowi więc luźne zestawienie skojarzeń; ów piaz asocjacji zostaje jednak scementowany rytmem, który pcha czytelnika naprzód, nie zostawiając mu czasu do namysłu i do kontroli nad odbieranymi wrażeniami; co więcej, rozsypane tu i ówdzie gruzy sensu, logiczne leit-motywy (w rodzaju aluzji politycznych rozsypanych w „Skumbriach w tomacie” lub słowa „biało-czerwona”, powtarzającego się w „Kolczykach Izolda”) wywołują w nim wrażenie, że coś jednak rozumie. Odnajdujemy tu ów kult irracjonalnej, na samym rytmie opartej, dynamiki, tak charakterystyczny dla ideologii reprezentowanej przez poetę warstwy. Jest to, oczywiście, rodzaj poetyckiej szarlatanerii: jarmarczny kuglarz, przerzucający byskawicznie karty przed oczyma olśniewionej publiczności. Co jednak stanowi o sile oddziaływania tych wierszy, to to, że Gałczyński zdaje sobie sprawę z kuglarskiego ich charakteru, że uprawia blagą pieśń na serio, lecz na wesoło, że robi od czasu do czasu „perskie oko” do czytelnika. Tym się tłumaczy w jego ówczesnej poezji obsesja szarlatanów, u których wszystko — nawet lzy — jest fałszywe, u których pozostaje jednak coś prawdziwego: świadomość własnej szarlatanerii. Ta świadomość, objawiająca się jako dowiecip, stanowi zarodek przyszłego rozwoju Gałczyńskiego.

Ze jednak ulubionym miejscem pobytu kuglarzy jest odpustowy jarmark, ów — ostatni w nowocze-

snym świecie — rezerwat średniowieczny, więc nie dziwnego, że ten zbuntowany przeciw XIX wiekowi poeta przebiera się najchętniej w kostium sówzadzrała, któremu najdłiksze wybrki nie przeszkadzają żywić specjalnego afektu dla Madonna, który prostactą naiwność łączy z respektem dla antyku, jak przystało na studiosusa, wyrzuczonego co prawda z Alma Mater, niemniej jednak otraskanego ze sztuki wyzwołanymi. Ale i na starożytność klasyczną patrzy Gałczyński średniowiecznym okiem; jest ona dlań przedmiotem nieco snobistycznego kultu, królestwem rygoru i ładu, w którym ów jarmarczny włóczyki szuka pociechy przeciw strapieniom swego nieporządnego żywota.

Owa sprzeczność między anarchizmem a potrzebą ładu charakterystyczna dla sytuacji reprezentowanej przez poetę warstwy wyraża się więc w jego ówczesnej poezji jako sprzeczność między kaprysem, stosowanym jako metoda twórcza, a tęsknotą za klasycyzmem; między tematyką chuligańską — pijacką a zamilowaniem do cichości hollenderskich wnętrz; między zainteresowaniem dla tandety, dla tanich Luna-parkowych świecidełek a kultem dla wielkiej sztuki przeszłości; między wybobrażeniem o carskiej Rosji jako o kraju anarchicznej swobody a wyobrażeniem o Zachodzie jako o kraju cywilizowanych form.

Widzimy więc, że Gałczyński a tak jak mieszczański liberalizm, ale czyni to z pozycji pravicowych. Proponowane przezeń rygory nie wynikają jednak z przesłanki racjonalnych, lecz z sobiepańskiego widzi mi się; wyobraża on sobie, że drobnomieszczaństwo — samym wysiłkiem woli — zreorganizować się psychicznie. To tłumaczy, dlaczego Gałczyński mógł wówczas tak łatwo wpaść w objęcia skrajnej prawicy, która przechwyconymi od socjalizmu hasłami: antyliberalizm, kultem pracy i prostego człowieka usiłowała maskować swą reakcyjną treść. Co jednak u polityka było oszustwem, to u poety — autentycznym przeżyciem; i to właśnie sprawia, że niektóre z jego — przedwojennych wierszy po dziś dzień nas wzruszają.

Po wojnie spędzonej w obozie jeńckim, a więc pod bezpośrednią władzą hitlerowców, Gałczyński — podobnie jak większość pisarzy polskich — przeszedł przez stadium „inteligentkich obrachunków”; przeszedł jednak w sposób bardzo swoisty. Nie wyrzekł się dotychczasowych chwytów, lecz przeciwnie, spotęgowal je do ostatnich granic: jak dawniej, ludzi czytelnika pozorami sensu; jak dawniej, rozsypane w wierszu logiczne leit-motywy i oranzizuje je samym rytmem. Przez sam swe nasilenie jednak nonsens nabiera tu cech parodii czyli zyskuje charakter samokrytyczny: Gałczyński pokazuje tu własną warstwę jej blażensko wykrzywione oblicze. Stopniowo z wesołego błagiera przeistacza się w satyrę: w „Zielonej Gęsi” oddaje nonsens na usługi rozumu, tworząc publicystykę — absurdalną w formie, racjonalistyczną w treści. Można tu zauważyć w stosunku do twórczości przedwojennej charakterystyczne przesunięcia: nie mieszczański liberalizm jest tutaj celem ataków, lecz konserwatyzm, apolityczność i zbłąkanie inteligencji: na bohatera pozytywnego awansuje coraz częściej:

botnicy, którzy nie chodzili nigdy do szkół, bo się urodzili, jak i ty, w złych czasach. Jest im jeszcze trudniej niż tobie. A czy myślisz, że się wstydzą? Nie, uczą się czytać. Prowadziłam dla nich taki kurs — nic się nie wstydzą, głośno sylabizują wszyscy razem, a potem umiejają i teraz już wszyscy ślicznie czytają. Widzisz, to są mądrzy ludzie...  
Milczenie.  
— Jak myślisz, Norbert, czy oni mają rację?  
Milczenie.  
— No, kto ma rację, oni czy ty?  
Norbert milczy w zwykłej swojej pozycji, ze spuszczoną głową.

Nagle odzywa się szybko, tak szybko i zająkliwie, że kierowniczka nie od razu rozumie, o co mu chodzi:  
— Ja przecież nie mogę pracować w stoczni, bo kuleję i jestem inwalida!  
Kierowniczka oblewa się rumieńcem. Nim odpowie, zastanawia się, nie wiadomo dlaczego, nad słowem „inwalida”, takim nieoczekiwanym w ustach Norberta. Ale w mig się orientuje, skąd to słowo: przecież chłopiec utrzymywał się z żebrani i pewnie właśnie tak zaczął przeczodniować:  
— Jestem inwalida! Jestem inwalida!

Kierowniczka ogarnia nagle żal, który skurczem zaciska gardło.  
— Rzeczywiście — myśli — w stoczni pracować on nie może. Nie może być pracownikiem fizycznym. Nie może być pracownikiem umysłowym. Co z nim będzie? Co będzie?  
I właśnie dlatego że tak myśli, na przekór swemu rozgoryczeniu, prostuje się w staromodnym, skrzypiącym krześle i krzyczy:  
— Nie możesz pracować w stocz-

ni „katolik”, ani „marksista”, tylko solidny rzemieślnik.

Ku chwale rzemieślników należy też powiedzieć, że

Solidni rzemieślnicy hodują ptaszki,  
a przed sklepikami mają wywieszki:  
klucze, okulary, nożyce,  
dżbanuszkę;  
w klatkach: kanarki, kosy,  
śmieciszki itd.

Adresat jednak jego poezji pozostaje ten sam, co przed wojną: dawniej gloryfikował go, dziś atakuje; ale o czymkolwiek mówi, mówi do niego. Jest to poezja przeciw, ale zarazem dla ówczesnych czytelników „Przekroju”, gdzie poeta zamieszczał swe wiersze, przeciw, ale zarazem dla mieszczańskiej publiczności Krakowa, gdzie poeta mieszkał. Toteż koniec tego okresu, podsumowanego w „Zaczarowanej dorożce”, zbiega się z wyjazdem poety do stolicy. Z tą chwilą zaczyna się w jego twórczości nowe stadium, które trwa do dziś dzień. Swoistość jednak przebudowy, jakiej dokonuje Gałczyński w swoim poetyckim systemie, polega na tym, że nie wyrzeka się dotychczasowych założeń, lecz je tylko rozwija, że — zmieniając się — potrafi w pewnym sensie pozostać wiernym dawnemu sobie.

Bo jakież były — najogólnie biorąc — cechy przed- i tuż-powojennej jego twórczości? Był to zawsze poeta bynajmniej nie wtórny, ani książkowy, nie artystowski, ani tworzący dla „niewielu szczęśliwców”; poeta niezwykle czuły na odbiorcę, poeta naturalny, wrogi wszelkiemu usztywnieniu i wychodzący na scenę w nie zawsze wygłosowanych lakierkach; wszystko to — właściwości bynajmniej nie sprzeczne z postulatami literatury socjalistycznej. Jakże tedy wytłumaczyć, że przedwojenna twórczość Gałczyńskiego dała tak błędne pod względem ideologicznym i nie zawsze zadowalające pod względem artystycznym wyniki? Zdecydował o tym wybór odbiorcy, pomieszczenie drobnomieszczaństwa z ludem; stąd antykosmopolityzm poety wywołał się w nacjonalizm i — popadając w sprzeczność z samym sobą — poszedł na usługi kosmopolitycznej ideologii prawicy; stąd kult naturalności wywrócił się we własną sprzeczność, w epatowanie „artystycznym neglizmem”; afirmacja życia — w pochwałę chuligaństwa; zamiłowanie do prostoty — w kult tandety i tanich świecidełek. Przelotem, jaki dokonuje się po dziś dzień w twórczości Gałczyńskiego, polega na tym, że poeta usiłuje ze swych założeń poetyckich wydobyć to zdrowe jądro, które bez wątpienia i w jego przedwojennej twórczości istniało.

Te przeobrażenia ideologiczne pociągały za sobą i zmiany formalne: w kompozycji, tematyce, obrazowaniu. Badając trzy kolejne tomy: „Niobe”, „Wita Stwosza”, „Wiersze liryczne” zauważymy w pierwszym z nich — jako najbardziej symptomatyczną — przebudowę kompozycji, w drugim — tematyki, w trzecim — obrazowania, przy czym — jak już stwierdziliśmy powyżej — Gałczyński zmienia tylko, ale nie wyrzeka się swoich dotychczasowych założeń.

O kompozycji muzycznej jego wierszy mówiliśmy już poprzednio. Było w nich coś z piosenek, którym

— z uwagi na śpiewność melodii — wybaczymy nieraz nieskładność tekstu. Tak pojęta muzyczność u niemożliwiła jednak pocie operowanie pojęciami ogólnymi, bez których nie może się obejść poezja socjalistyczna. W powierzchownym jej ujęciu kryje się niebezpieczeństwo deklaratywności czyli wyłącznego operowania abstrakcjami. Nie unikną deklaratywności Gałczyński w takich wierszach jak „Sylwester Marosz”, jak „Z powodu Kongresu Pokoju” ze zbioru „Śubne Obrączki”, temu wyraźnie przejściowego, gdzie resztki absurdistycznej groteski („Ogórek”, „Kof”, sąsiadują z wierszami, należącymi już do nowego kręgu tematycznego. Przewyczyć te pozostałości udało się Gałczyńskiemu dopiero w „Niobe”, poemacie, który chce ukazać epokę budowy socjalizmu w łączności z dotychczasową historią człowieczeństwa oraz związać ten temat z osobistym życiem poety. Ma to więc być synteza historiozofii, aktualności i liryki. Zadanie nie lada: nie za wiele było geniuszu Majakowskiego, aby — w poemacie „Dobrze” — połączyć chociażby samą aktualność z liryką. Toteż nie można nazwać poematu „Niobe” całkowicie udanym: razi w nim pewna dowolność kompozycji, niewytłumaczalność takich wstawek jak „Spotkanie z Szopenem” czy — uroczą zresztą — „Mały koncert skrzypcowy”, razią tu i ówdzie nawroty do dawnego „epaterstwa”.

Nie ma śnieg ba śnieg śnieg  
sylaba ośnięty  
mama śnieg baba śnieg sylaba  
ba itd.

Co jednak stanowi istotną zdobycz Gałczyńskiego, to nowy typ kompozycji muzycznej, inaczej pojętej niż w dawnych jego wierszach. Poeta obrał mianowicie jako stały motyw tematyczny Nieborowską głowę Niobe, którą w ciągu poematu naświetla z coraz to innej strony, interpretując ją już to jako głaz, stojący nad brzegiem Sypyckiego morza, już to jako rzeźbę, wędrującą poprzez historię z rąk do rąk, już to jako matkę, szukającą dzieci, już to jako symbol kultury i pokoju. Dzięki tej „wariacyjnej” kompozycji może — nie tracąc jednolitości — otwierać po raz w poemacie okna, dające widok na dalekie historyczne perspektywy.

W „Wicie Stwosza” Gałczyński, wracając raz jeszcze do ulubionego średniowiecza, koncentruje jednak tym razem uwagę nie na grzechach i jarmarcznych szalbierzach, lecz na człowieku pracy, na rzemieślniku-artystcie. Jest to wymyślnie prosta, kunstownie nieskładna kantyczka o miłości do świata, do pokornych szczegółów życia powszedniego, która tworzy sztukę, Misternie prymitywne rymy, przypominające „Pieśń o św. Aleksym”, dziecinna prostota obrazowania, cała forma poematu, jak gdyby niewprawnie snyconą w drzewie służy temu, aby uwypuklić centralną figurę artysty — bożego prostactka, który swą znajomość i miłość powszedniości oddaje na usługi panującej i nie przez niego wymyślonej idea.

Co panowie rada uchwalili,  
tom wyknał, jak trzeba

mówi o sobie Wit Stwos. Zapewne, taka koncepcja sztuki jako so-

(Dokończenie na str. 7-ef)



Przed nowymi przedstawieniami „Niezapomnianego 19“

Grana z wielkim powodzeniem w większości europejskich krajów sztuka Kruczkowskiego „Niemcy” osiąga ostatnio duży sukces w Japonii. „Niemców” w tłumaczeniu japońskiego pisarza Tokusaburo Dan wystawił teatr Hichiokał w Tokio. Na zdjęciu scena z trzeciej odsłony aktu I w wykonaniu aktorów zespołu Hichiokał.







MAMERT NIEZGUJKO

## WIERSZYK DZIECINNY

Kiedyś dzieci kapryśliły  
i brzydkie słowa mówiły  
i nawet biły się dzieci  
— dziś takich już nie znajdziecie!

Nie figlują dzisiaj żadne,  
chodzą sennie i układne.  
Dziś — to grzeczności ekstrakty,  
nie dzieci — sam wzór i aktyw!

Jeśli się które załamię,  
to zaraz zrasza to łzami.  
Jeśli coś spoczę, po chwili  
samokrytycznie już kwili.

Poprawne jak sprawozdania,  
dostojne jak przykazania.  
Naczynia wszelkie czystości  
(czasem aż godne łości!...)

\*

Czytając wiersz ten, wołacie,  
że takich dzieci nie znacie,  
że nie ma takich na świecie!  
Są!

W naszych pismach dla dzieci!

## Fraszki

HORACY SAFRIN

## POWRÓT PISARZA Z TERENU

Poznał hodowli bydła najszybsze tajniki,  
i oto w reportażach stale — strzela byki.

## NAGROBEK GRAFOMANA

Życie twórcze nie wszystkim układa się gładko.  
Nie doczekał się laurów, chociaż orał piórem.  
Niechże wdzięczna mu będzie Centrala Odpadków  
za spuściznę duchową — stos makulatury.

TADEUSZ POLANOWSKI

## ZACHODNIA WOLNOŚĆ KULTURY

Poeto, kiedy wolność burzą ci ogłasza,  
Znaczy: wziąć chce Pegaza do stajni Auglasza.

## RANGA PISARZA

Drukować dzisiaj chce, kto żyje  
I byle przedzej. Złe zwyczaje.  
Pisarskich nie zdołać szlif.  
Kto szlifu dziełom swym nie daje.

WŁODZIMIERZ BORUŃSKI  
wg EMILA KROTKIEGO

## CUKRZYCA

Bez lukru pisać nie jest w stanie,  
Aż wszystko lepi się, jak likier...  
W literaturze pozostanie  
Jedynie wielkim diabetikiem.

## DRAMATURG

— W twej sztuce spokój masz i ciszę,  
A konflikt? — — Zaraz... Po co krzyk tu?

Ja każdy konflikt w niej dopiszę,  
Byle się obejść bez konfliktów...

GIOVANNI RODARI

Tłumaczył JANUSZ MINKIEWICZ

## WIERSZE DLA DZIECI

Giovanni (Gianni) Rodari jest dziś jednym z najpopularniejszych poetów świata, znanym szeroko poza granicami Włoch. Wiersze jego uobecniają wioskich dzieci, autora świetnych „Przygód Cipollina”, redaktora posępowego pisma „Pioniere”, przetłumaczył na rosyjski Samuel Marszał. Po wydrukowaniu ich w „Literaturnoj Gazecie” ukazał się w ogólnie Włoskiej Partii Komunistycznej „Unita” artykuł, w którym m. in. czytamy:  
„Wiersze te... świadczą, że w naszym kraju — obok tej drukowanej trudnicy, którą włoskie dzieci po zamienianiu i zwatyzacji w prasę — istnieje także taka poezja, która budzi w dzieciach szacunek dla pracy i pogardę do pasożytów, zdzierców, mamińskich i trutników, korzystających z pieniędzy, które ich rodzice wydalił ludziami drogą wysiłku, błąd oszustwa”.  
Niekiedy z tych wierszy publikujemy dziś w przekładzie Janusza Minkiewicza.

## Dzielny statek

— Statku,  
Co czekasz  
W porcie, przy redzie,  
Jaki ładunek  
Z tobą pojedzie?

— Mogę wziąć z sobą  
Setki podróży,  
Tysiączne tony towarów różnych,  
Restaurację  
Z grzeczną obsługą  
I  
Kapitana z lunetą długą...

Przemierzam przestwór  
Od mego kraju  
Do Chin, Indochin  
I do Bombaju...

Lęk przed burzami jest mi nieznany  
I tylko pieszczą mnie  
Ocean.

Lecz  
Jeśli ci  
Co nie chcą pokoju,  
Broń  
Załadują mi  
Na postoj —

Nie im z tej broni  
Nie przyjdzie,  
Bo  
Sam z tym ładunkiem  
Pojdę  
Na dno!

## Słowo „płakać”

Kiedyś  
Wszyscy będą szczęśliwi,  
O złu zapomną na świecie...  
Wtedy,  
Być może,  
Natkną się dzieci —  
Gdzieś w starych szpargalach,  
W książkach pożytych,  
Dawno zwietrzałych —  
Na słowo „płakać”...  
Więc rzucą w szkole pytanie:  
— Proszę pani,  
Co to znaczy  
„Płakać”?

Nauczycielka z kosmykiem siwym,  
O zapomnianym tym słowie  
Dzieciom wesółym,  
Dzieciom szczęśliwym —  
Wszystko co wie,  
Opowie.

Cóż... Dzieci słów jej  
Nie pojmą wcale,  
Więc próbę zrobią naoczna:  
Będą cebulą oczy trzeć, ale  
Przez łzy —  
Uśmiechać się poczną!

Ktorego dnia  
Dzieci  
Wyborą się w gości  
(Niektóre z matkami,  
Niektóre zaś bez...)  
Do mrocznej siedziby  
Muzeum Przeszłości,  
Do zabytkowego  
Muzeum  
Lez.

W muzeum tym  
Smutek na ogół ogarnia,  
Lecz zbyt się nie martwi tam  
Nasza dzieciarnia.

Bo dla niej,  
Na szczęście,  
Wczorajszą naszą ból  
Nie będzie miał dawnej swej siły,  
Bo, zda się,  
Że znikła  
Z wczorajszych lez  
Sól

I lzy się słodszyml zrobiły!  
Obchodził muzeum  
Gromadka niewielka;  
Wśród cichy zabiera głos  
Nauczycielka;

— Tu oto lzy matki  
Wylane w rozpacz  
Nad synem, co zmarł  
Wśród śniegów i mgły...  
Tam  
Lzy wypędzonych na bruk  
Przez bogaczy —  
Bezdomnych nędzarzy...  
A tu chłopca lzy...

Lzy chłopca,  
Dlatego  
Na śmierć pobitego,  
Że skórę miał czarną!  
(Zdarzało się tak...)  
Choć lzy,  
Lzy każdego,  
Czarnego,  
Białego —  
Ten sam mają wygląd  
I taki sam smak...

Tu dzieci jej przerwą pytaniem,  
Bo złość  
Objawił się w nich współczująca:  
— Więc płakał?!

— Raz zaskak  
I zaczął się: „Dość!”  
I już nie zapłakał do końca!

Tak dzieci szczęśliwe  
Jutrzejszych stuleci  
O lach się dowiedzą  
Współczesnych nam dzieci.  
O dzieciach gnędzących się  
W norach wlotnych,  
O miastach rojących się  
Od rzęs bezrobotnych...

I powle nauczycielka;

— Tyle lez lato się w czasy one,  
Ze słone morze, z lez utworzone,  
Zburzyło wód swych groźnymi zwalą  
Tamy,  
Co szczęścia nie dopuszczaly!

## nożyce

ADAM OCHOCKI

## TWÓRCA

Opuścił zebranie w zwarzonym humorze.  
Do domu już przyszedł — do siebie nie może.

Krytyczne uwagi brzmią w uszach bez przerwy:  
„Swą twórczość piszący od życia oderwał”.

— Co stworzyć, by wszystkim, że nie jest tak, dowieść?  
Nowe? Poemat? Reportaż? Opowieść?

Ach, błysnąć sukcesem. I sławą! A zatem  
Pomyśleć należy nad jakimś tematem.

I bujnej fantazji popuszcza wnet wodze.  
Co myśli — to niewypał. Choć mózg sili srodze

Nie może zawiązać ni wątku, osnowy  
I nic mu, jak na złość, nie wpada do głowy.

Już księżyc srebrzysty na niebo się wtoczył,  
On wciąż nie wie co ma napisać i o czym.

Nowe? Poemat? Reportaż? Opowieść?  
Lecz o czym właściwie w utworze swym powie?

O wsi? Nie da rady. To obcy dlań temat.  
Dramacik miłosny? Już wzięcia dziś nie ma.

Coś z życia młodzieży? Raz wpadł z tym przy próbie.  
A może z historią? Sienkiewicz już ubiegł.

Tak błdzi i błdzi, jak żeglarz bez steru,  
A temat nie spływa na kartkę papieru...

Aż wreszcie nad ranem do snu się ułożył.  
Odpocząć chce trochę, lecz zasnąć nie może.

Nie może się zdrzemnąć, choć senność przenika,  
Bo huczy i huczy za oknem... fabryka!



Rys. Jantar

## ZACHÓD W NASZYCH OCZACH

## Miliarderki i Giorgio Tupini

Kiedy patrzymy na szare mury Watykanu stłoczone poza bazyliką św. Piotra i na tłumy sfalowane w kamiennym obramowaniu placu, przychodzi mimo woli na myśl znana anegdota o Benedyktie XIV, który ukazawszy się wiernym, by udzielić swego pierwszego papieskiego błogosławieństwa i ujrzawszy nieprzerznięte morze głów szepnął: „Ile to ludzi. Z czego wszyscy oni żyją?”. „Głównie z tego, że jeden oszukuje drugiego” — zauważył stojący obok papieża — „zauważył stojący obok papieża. Na co papież czyniąc w powietrzu znak krzyża: „Zrozumiałem. My musimy więc oszukać ich wszystkich”.

Benedykt XIV był uważany za l'enfant terrible Stolicy Apostolskiej. On to będąc jeszcze kardynałem Lambertini, kiedy dowiedział się od pryjaciół o uszczęśliwieniu procesu kanonizacyjnego kilku osób, które znał za życia, powiedział: „Ci nowi święci każą mi bardzo wątpić w starych”.

Kardynał Lambertini lubił być uważany za dowcipnego tak jak Pius XII lubi uchodzić za niezłomnego organizatora kościoła. W zakresie organizacji problemem centralnym zdaje się być w chwili obecnej dla Watykanu znalezienie właściwego sposobu na wtłoczenie feudalno - średniowiecznych poglądów „naukowo” - społecznych w nowoczesny system reklamowo propagandowy, wzorowany na osiągnięciach amerykańskich.

Obrona uprzywilejowanego stanowiska klas posiadających jest pojęmowana przez prasę katolicką ze szczególną pieczołowitością. W każdym niemal numerze „Osservatore Romano” znaleźć można artykuł lub argument objaśniający politykę kościoła na tym odcinku.

Szczególnie mocno momenty te są akcentowane w przemówieniach papieża (O. R. 25.IV 1953, 28, 29.III. 1953 itp.) nawołujących do „szczerego porozumienia oraz braterstwa właścicieli” i wskazujących na to, że „wpojęne robotnikom zasady religijne osłodzi im ich ciężkie trud i ułatwią wypełnianie obowiązków”. Aby nie było wątpliwości co do intencji Watykanu Giovanni Cazzani, biskup Cremony wyjaśnił w swoim czasie, że bogactwo „w pierwszym rzędzie zasługują na nasze w społeczeństwie ponieważ są niejednokrotnie nieszczęśliwi od tych, którzy cierpią ubóstwo materialne” (O. R. 29.III. 52), a biskup Gubbio, Beniamino Ubaldi starał się klasie robotniczej odebrać resztę nadziei pisząc: o „charakterze permanentnym klas społecznych, własności prywatnej i środków produkcji” (O. R. 23.III. 1952).

Mutacją popularną tych sformułowań są artykuły zamieszczane w czasopiśmie typu „Grazia”, które transmitują „w lu” główne wytyczne:

„Uboga kobieta ma do spełnienia ściśle określoną funkcję: pracować. Miliarderka ma również określoną funkcję: konsumować. Najważniejsza jest, by każdy wypełniał to co do niego należy. Jest sprawą ubóstwa czy konsumuje czy produkuje. Chodzi tylko o to, by nikt nie trwał w bezruchu, by wszystko posuwało się, by miliarderka i uboga kobieta działały każda na swoim polu. Jeżeliby moda narzuciła w pewnym momencie zwyczaj aplikowania sukien prawdziwym i sterylizowanymi muchami, obowiązkiem miliarderki byłoby zamówić natychmiast całe skrzynie tych much, we wszelkich ich odmianach. I przeciwnie, obowiązkiem i przy-

wilejem skromnej pracownicy byłoby chwycić te muchy bez wytchnienia, chemicki — sterylizować je, dziewczyny na posyłki — odnosić, pokojówki — układać je starannie w szkatułkach miliarderki.

Skromna praca nie jest bardziej skromna niż najwspanialsze zajęcie, ponieważ jest wypełnianiem określonego obowiązku społecznego. Nie dostrzegając tego nawet miliarderka i robotnica są sojusznikami w tej trudnej walce jaką jest życie. Oczywiście o b y d w i e

rel, psów, samochodów i drogich papierosów. W ten sposób wyświadcza przysługę biednym robotnikom, które mogą na nią pracować. Z drugiej strony każda z ubogich pracownic potrzebuje istnienia wielu miliarderek by móc żyć”. („Grazia”, maj, 1951).

Zdawać by się mogło, że po tak druzgocących dowodach każda z „ubogich kobiet” winna wznosić dziękczynne modły z powodu istnienia miliarderek. Tymczasem nawet najzgorzalsze parafianki głośno krytykują istniejące stosun-



Afisz rozlepane na ulicach miast włoskich przez chadecką organizację propagandową. Podają one do wiadomości sensacyjne kłamstwo: w Moskwie zaarrestowano sześciu pilkarzy radzieckich, którzy prze-grali w Helsinkach mecz z Jugosławią (wg „Vile Nuove”).

na siebie narzekają: miliarderka twierdzi, że uboga kobieta żąda zbyt wiele, ba, nawet że sama chciałaby zostać panią — kobieta natomiast oskarża miliarderkę o nie-róbstwo i uważa, że należałoby trochę ukrócić jej prawa. Wszystko to jednak są tylko nastroje. Nastroje, z których jest złożona większa część naszego życia.

Miliarderka potrzebuje pantofli, sukienek, kolii diamentowych, pe-

ki. To zaczyna być niepokojące, zwłaszcza że stan ten trwa już od dawna.

Już sto lat temu kościół starał się znaleźć sposób na nieznosne parafianki. Proboszcz kościoła św. Klary w Neapolu nie mógł sobie w żaden sposób poradzić z narzekającymi kobietami. Gorzkie wyrzuty jakie im czynił nie odnosiły skutku.

Aby więc zgnębić je ostatecznie wziął się na sposób:

„Ja się pocę! — krzyknął pewnego dnia przeciskając się przez natłoczoną świątynię ku ambonie. — Ja się pocę! Zgadnijcie skąd tu się biore? Wracam uprost z piekła. Czy wiecie jak ono wygląda? Wszystkie podłogi są tam wybite kobiecymi językami”. (Noi donne, 10. V. 1953).

Gdyby ów proboszcz dziś zmarł, twierdził, bez wątpienia zapewniłby wiernych, że podłogi piekła są wyłożone duszami tych, którzy głosowali na lewicę.

Odbijająca się w chwili obecnej we Włoszech kampania wyborcza oraz wzrastające nieustannie siły lewicy spowodowały konieczność mobilizacji wszystkich ugrupowań reakcyjnych, którym patronuje Watykan. Ponieważ jednak ani straszenie piekłem z ambon, ani ogłaszanie że jest grzechem śmiertelnym głosować na partie postępowe, ani rzucanie obelg na partię komunistyczną nie odniosło pożądanego skutku, chadecka partia postanowiła ku przestrodze tych wszystkich, którzy pragną zasadniczych zmian społeczno - gospodarczych, pokazać jak „naprawdę” żyje się w krajach demokracji ludowej biorąc za przykład Polskę.

W tym celu zorganizowano pod wysokim protektoratem podsekretarza stanu w Prezydium Rady Ministrów, Tupini, i przy jego czynnym współudziale, wystawę „dokumentów” zatytułowaną „Po tamtej stronie”. „Dokumenty” te przedstawiały „gnębionych w Polsce ludowej obywateli, obozy koncentracyjne, prześladowania duchowieństwa” itp. Jak wiadomo rząd polski wystosował w tej sprawie specjalną notę do rządu włoskiego, która domagała się położenia kresu oszczerczej propagandzie.

W odpowiedzi, dnia 13 maja br., rządowa agencja włoska ANSA opublikowała komunikat, w którym czytamy: „Koła dyplomatyczne uważają, że wystawa ma po pro-

stu dać włoskiej publiczności realny obraz warunków życia, jakie dziś istnieją w świecie komunistycznym, aby przez obiektywne porównanie publiczność ta sama mogła dojść do właściwych wniosków. Jeżeli, wychodząc z takiego założenia, rząd polski dopatrzy się w wystawie rzeczy dla siebie nieprzyjemnych, to jest to tylko dowód, że wystawa ta trafiła w sedno.”

Tego samego jednak dnia do redakcji „Unita” zgłosiło się dwóch obywateli rzymskich, którzy zwiędziwszy wyżej wzmiankowaną wystawę zobaczyli swe własne fotografie wśród „gnębionych” w krajach demokracji ludowej obywateli. Byli to Alfredo Nardecchia, zatrudniony w agencji fotograficznej Meldonesi i Dionisio Iudinone.

Wśród fotografii „prześladowanego duchowieństwa” znajduje się powiększona odbitka jednego z księży, zrobiona na ulicy Rzymu, „azerbejdżański murarz” — to speaker radia rzymskiego Giovanni Battista Arista.

Miary skandalu dopełnił list właściciela agencji fotograficznej Meldonesi do redaktora naczelnego „Unita”, w którym pisze on:

„Ośrodek dokumentacji ludowej” (oddział Akcji Katolickiej) zwrócił się do mnie o trzy fotografie, przedstawiające duchownego, osobę pochodzącą ze stanu średniego i socjalistę. Przyjąłem to polecenie... i sfotografowałem osoby o żądanej charakterystyce dostarczyłem zamówione fotografie. Dowiedziałem się następnie od osób trzecich, że trzy wymienione fotografie zostały użyte dla zrobienia plansz na wystawę „Po tamtej stronie...”

Afera ta demaskując archyrezekcyjno-demokratyczne metody polityki watykańsko - chadeckiej ośmieszyła nie tylko pana Tupini, przyniósł przedwyborczą propagandę klerykalnej, ale też jego świeckich i duchownych mocodawców. Jadwiga Pasenkiewicz